

Egz. archiwalny IBL

S Z K I C E

OBYCZAJOWE I HISTORYCZE.

(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)

20122

WYDZIAŁ I WYDZIAŁ

Egz. archiwalny IBL

SZKICE

OBYCZAJOWE

I HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO.



Powieść Czecia.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.
Wilno 1840 roku 14 Września.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
JAN WASZKIEWICZ.

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-240 Warszawa
Tel. 26-59 63, 26-52-31 w. 42

Egz. archiwalny IBL

PAN KAROL.



POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

You will proceed in pleasure, and in pride
Beloved and loving many, all is o' ver,
For me on earth, except some years to hide
My shame and sorrow deep in my heart's core,
These I could bear, but cannot cast a side
The passion which still rages ^{o' s} I before
And so farewell-forgive me, love me.

Byron. Don Juan. C. 1. s. CXIV.



1: 1833

WYDANIE DRUGIE POPRAWNE.

PAN KASOL

POWERS. YAKSABYDANA

There is but one, and that is the
... of the ...
... of the ...
... of the ...
... of the ...
... of the ...
... of the ...
... of the ...

—

...

Jest to jedna z powieści, które w młodości mojej wyległy się, więcej z marzeń o świecie, niż z postrzeżeń nad światem. Przebiegając ulice Wilna wieczorem, gdy padał mrok nocny, wpatrywałem się ciekawie w przesuwające postacie, starałem się odgadnąć dokąd, po co, z jaką myślą dążyły? Nieraz gonilem za posępną twarzą, pod której brwią nawisłą szukałem dziwacznej powieści. Wróciwszy potem do samotnego mieszkania rozplatałem moje marzenia, rozrzucałem je, i wilem z nich powieści tak dziwaczne, jak postacie sunące się po ulicy o zmroku, jak myśl młodego, gdy ją

*co! daleko od świata rzeczywistego uniesie. Tak się urodził i **Pan Karol**, ze światła w oknach na Skopówce, z przechadzki na Antokol, z ujranych śmiesznych figur kilku w traktyerze. Darujcie surowsi czytelnicy, rozbujanej młodej fantazij; starszy i chłodniejszy, proszę was o przebaczenie za grzech młodości; któren zmażę kiedyś dziełem tak poważném, mądrém i głęboko pomyślaném, że nikt go pewnie czytać nie będzie.*

Gródek d. 12 Sierpnia 1840 r.

J. I. KRASZEWSKI.

I.

PRZECHADZKA.

Pierwszy pocałunek jest bramą do niebios miłości; ostatni tylko fusami szczęścia!

Mysł przy rozstaniu.

Noc była chłodna, wiatr świszczwał po pustych ulicach Wilna, wiejąc blady, jak upiór, obwinięty białych chmur całunem, kołysać się zdawał na niebie. Było blisko północy, może po północy; dawno już nie słyhać było bicia zegarów, bo wiatr szumny je głuszył i dźwięki ich w drobne cząstki rozrywał.

W Sapieżyńskim ogrodzie na Antokolu przechadzały się dwie osoby wielką środkową ulicą. Jedną z nich był mężczyzna, drugą ko-

bięta;— pobrawszy się pod ręce szli i zbliżali się właśnie ku drugiej fontannie, bliższej bramy ogrodu, gdy mężczyzna jakby mimowolnie odezwał się przez zęby:

— Kochana Amalciu! Co za zimno! Kości mi przejmują. Usiądźmy trochę, tyś się zmęczyć musiała, tobie także, moja droga, musi być zimno?

— O! nie.

— Umyślnie tylko tak mówisz. Proszę cię, masz mój płaszcz, obwiń się nim.

— Nie chcę.

— Dla czegoż masz marznąć? Jesień już, noc chłodna, do ranka jeszcze daleko — noc teraz długa.

— To nic.

— Ale kiedy cię proszę, moja droga.

— Nie chcę!

— Prawdziwie, rzekł po chwilce nieznamy, narzucając znowu na siebie płaszcz z trachą gniewu — to zimno, jeśli nie przejęło ciała, to oziębilo serce twoje; odpowiadasz mi tak krótko, tak zimno, jak gdybym był tylko mężem twoim.

— Proszę cię, mój Karolu, zawołała po-

rywając się kobieta, raz na zawsze cię proszę, nie wspominaj mi nigdy męża. Jest to jedyna łaska, o którą cię błagam. Zrobiłam dla ciebie wiele, poświęciłam ci głos mego sumienia,—jest to największa kobiety ofiara; oszukuję mego męża; a ty, nielitościwy przypominasz mi moje błędy? Toż to jest miłość? Karolu!

Dodała tęsknięć po chwili:

—Ale biada, biada tój kobiecie, która kochankowi poświęca wszystko — raz nasycony ofiarami, rzuca ją i miłość jego zagasa w tój chwili, gdy nasza może najmocniej wybucha, podbudzona, wymodlona!

—Amalko, cóż za myśli! krzyknął mężczyzna. Wyrzuty! i komuż? twemu Karolowi — i gdzież? tu — w tym ogrodzie, w którym z nim noc przepędzasz. Bo Karol, przypomnij sobie, Karol nie ma domu, nie ma kątki, gdzieby swoją i ukochaną przytulił głowę. Ty jedną chwilę tego mizernego życia chcesz podzielić, rozjaśnić, i gorzkimi zatrujesz je wymówkami! Kochana Amalcio! uściśnij mnie, proszę! — i dajmy wszystkiemu pokój. Ten ogród, dodał, byłby niebem dla

mnie, gdyby — gdyby nie takie zimno przekłętę.

To mówiąc pocałowali się i usiedli znowu blisko siebie na ławeczce, przytulając się jedno do drugiego, jakby się serc swych biciem ogrzać chcieli. Uszła chwila — Amalija ciężko choć po cichu westchnęła.

— Wzdychasz, odezwał się Karol, rękę, żeś sobie przypomniała, iż gdyby nieja, gdyby nie przekłęta miłość, w którą ciebie uwikłałem, spałabyś teraz wygodnie, spokojnie, w ciepłym pokoju, na szerokim i miękkim łożu małżeńskim.

— Ach! precz z tą myślą, krzyknęła przeźliwie kobieta porywając się — precz z tém przekłętém — Karolu! ucieknę, jeśli słowem jeszcze przypomnisz mi, żeż żoną — i nie twoją —!

Karol bardzo nieznacznie ruszył ramionami i zamilkł. Nowe westchnienie wyrwało się Amalij.

— Mogłiześmy się kiedy spodziewać, odezwała się ona po chwili — że my, my dwoje, my będziemy musieli takie nocy przepędzać, aby choć chwilę być razem. Pamiętasz Karolu;—

ten wesoły balik dziecinny na twoje imię-
niny?

— Amaljo! cóż to znowu! Proszę cię, za-
dnych wspomnień, żadnych — ty wiesz jak
mnie one dręczą — Ucieknę!

Oboje zamilkli, po chwili znowu zbliżyli
się do siebie w milczeniu. Zimno coraz to
mocniiej dojmowało, rosa jesienna chłodna pa-
dała, wiatr dał mocny.

— Ach, jak zimno! zawołała mimowolnie
Amalja.

— Weźże teraz mój płaszcz!

— O! za nic!

— Proszę cię, proszę cię na kolanach! —
mnie ciepło, ja go nie chcę, nie potrzebuję,
ja go rzucę, jeśli ty nie weźmiesz; proszę cię.

— Nie, nie, to napróżno! Przyszłam tu
dzielić twoje cierpienia, ale nie pomnażać, za
nic, za nic!

— Cha! cha! zabrzmiał głos P. Karola, to
ty myślisz, że ja cierpię? Broń Boże! czegoż
mi brak? nie jestemże szczęśliwy, tak jak tyl-
ko być mogę! Co mi tam zimno, mam sur-
dut ciepły! A na jutrzejsze szczęście dnia,
po dzisiejszym szczęściu nocy, mam jeszcze

całe półróbla w kieszeni! Jutro będę się miał za co upić!— i będę znowu szczęśliwy!

—A! Karolu! co ty mówisz! ty nie wiesz ile ja cierpię słuchając tego.

— Że ty cierpisz, to nic dziwnego, odpowiedział uśmiechając się mężczyzna. Jesteś kobieta, to, droga moja, wasze przeznaczenie; naszym jest, zatruwać wam ile możności życie, starać się o to wszystkiemi sposobami. Tyś jednak, moja Amalko, na pozor nierównie ode mnie szczęśliwsza, masz zawsze co jeść; a ja — bywają dni, dni nierzadkie, kiedy woda tylko jest mi napojem i pokarmem razem. Wstydzę się zebrać, nie umiem pracować — i umieram z głodu!

— Byćże to może! ty! toś ty wszystko stracił?

— Wszystko! ty nie wiesz jak my prędko tracim.

— O! mój drogi! dla czegoż ja nie mam! Na ci! na — to jest mój — pierścienek ślubny, jedyna rzecz, warta cokolwiek z tych, które mam przy sobie, weź go, przeżyjesz za to dni kilka, może się postaram tymczasem. Więcej nic nie mam przy sobie, ani

pół grosza. Mam prawda jeszcze złoty łańcu-
zek od matki, ale tego nawet tobie oddać nie mo-
gę. Ślubny pierścionek jest wielką pamiątką, ale,
pamiątką nieszczęść moich, na cóż go mam nosić!

Spuściła oczy, opadły ręce i zamysliła się.

— Biedna! zawołał Karol z udaną czu-
łością, niosąc niby rękę do otarcia łez, których
oczy jego nie wylały—do czegożeśmy przyszli!
—ja nędzarz, a ty—

—Ach! i nie kończ Karolu, krzyknęła ko-
bięta zatulając mu usta, nie kończ — chcesz że
mnie tém zabić?

—Doprawdy! chciałbym, ale nie mogę, nie
mam na to siły! Byłabyś szczęśliwszą. Pomyśl,
jutro rano, co za chwila dla ciebie okropna,
musisz wesoło udawać, opisywać kłamliwie
dzisiejszej nocy zabawy. Musisz go uścisnąć!
myśląc o twoim Karolu, który zgrzytając zęba-
mi, bije gdzieś o kamień głową! Powiedz mi
co warto takie życie?

Amalja spojrzała na niego, i łzy płynęły jej
po twarzy, zaświecił księżyc i przejrzał się w tój
czystej rosie serca,

II.

PIERŚCIONEK.



Przysięga, czeże słowo, można przysięgać
na to, co nie w naszej mocy dotrzymać?

Myśl w dniu wiarołomstwa.

No! za zdrowie twojej żony, panie Sędzio!
A! że sliczną to sliczną masz żonkę, niech mnie
diabli wezmą, jeśli nie najpiękniejszą ze wszyst-
kich Sędzin na świecie. Uf! gdybym ja miał
taką!

— I znowu, i znowu, proszę, bardzo proszę,
kiedy już prosiłem, żeby ani słowa o mojej
żonie, ani słowa. Facecjo!

— Cóż tam za drażliwość u licha? Na tożes
się ożenił, żebyś się wiecznie lękał nawet

wspomnieć nawet jój imienia? E to już żarty panie Sędzio, nie bądź bo zazdrośnym po furmańsku. Naléwam ci nowy kieliszek, za zdrowie twojój żony—Pijcie panowie!

—Vivat! vivat! Pani Sędzina!

—Wistocie panie Sędzio, rzekł piérwszy współbiesiadnik, ja nie pojmuję jak ty możesz byđź i potrafisz byđź smutny, nasepiony. Nie jest żeś szczęśliwy?

—Ba! szczęśliwy! a zaraz szczęśliwy! facecje!

—Ciekawyz jestem wiedzieć, co ci do szczęścia braknie?

—Braknie, a zaraz braknie! facecje!

—Ja nie pojmuję! Liczmy twoje dostatki wszelkiego rodzaju. Naprzód masz lat pięćdziesiąt i—

—I zaraz, panie Józefie! Kiedy wasan zawsze głupstwa prawisz! Co to nie wiész niby że w Lipcu na S. Ignacy zaczynam rok trzydziesty dziewiąty, a ty, facecje!

—Praw to komu chcesz, ale ja nie wierzę.

—Ot! i znowu, nie wierzę, kiedy mówię! Jak dziś dzień; pokazalbym ci metrykę, ale

kościół parafjalny, w którym chrzczony byłem, spłonął razem z metrykalnemi — xięgami!

—No! więc mijam lata; powtóre masz pieniądze, a przy twoim wieku jeszcze—

—I znowu! wieku, facećje! Panie Józefie, opamiętaj się wać, dalibóg ja nie jestem w wieku. Czego ty chcesz — no, patrz; raz, dwa, trzy, jeszcze ci wytnę hołubca i przysiudy, patrz. Albo łydki, albo nogi, to nie tak jak u starego, facećje!

—No, w wieku czy nie w wieku, zawsze to drugi dostatek, ładna, młoda, miła, i kochająca żona.

—I zaraz! facećje! Panie Józefie! Gdzie tam ładną! po co to gadać! Proszę cię ani słówka o żonie, kiedy mówiłem że o niej ani słówka —

—A więc, sza! Ale jeszcze kieliszczek panie Sędzio! doskonały markebrüner.

—Upadam do nóg, facećje, markebrüner i niósł do ust kieliszek, a potem zawołał.

—A! a! a toż co za figura?

Gdy to mówił, wchodził do traktjeru, człowiek młody, blady, blondyn, dość wysokiego wzrostu, nie wykwinłnie odziany lecz

dość czysto. Płaszcz zrzucił w pierwszym pokoju i posunął się dalej, wszyscy przytomni spojrzawszy na niego, cofnęli się mimowolnie.

Nadzwyczajna, smiertelna prawie, sina bladość okrywała twarz jego całą, oczy miał wielkie, czarne, rysy wszystkie skupione, usta szerokie i otwarte, tak, że dwa rzędy zębów białych, długich, wysuwały się z pod warg bladych. Spójrzanie jego było dzikie i szyderkie, a tak przejmujące, że spotkanie tego wzroku na długo humor popsuć mogło. Wyraz całej twarzy godził się z wejrzeniem i uśmiechem; dziwną tajemnicą człowiek ten mimowolnie wzrok ku sobie pociągał, choć przykro było patrzeć na niego. Długie jasne blond włosy, kręcące się niedbale spadały mu na ramiona.

Sędzia dwa razy spojrział na niego i odezwał się do sąsiada po cichu.

— Facecje! czysta trupiagłowa, ten jego-ność; i oczy i zęby! hm! Panie Józefie?

—Prawda! prawda! jakie oczy!—jak węgle; nos, usta, uśmiech, zdaje się trupia głowa tylko co wyjęta z kośnicy.—A! jakże się rozsmiał, jak gdyby tysiąc lat nie otwierał gęby!

— Facecje! takich figur nie powinni

wpuszczać do traktjeru, czysta trupia głowa! To psuje apetyt, trawienie, można dostać niestrawności. — A! a! idzie ku mnie! Facecje! czego wasan chcesz? Ba! Mosanic, może kieliszek markebrüner, proszę, pij, pij, i idź sobie z panem BOGIEM, bo —

— Bo co!

— Bo, ja nie mam czasu.

— Dziękuję za wino, rzekł nieznajomy do Sędziego, ale jeśli możesz kawałek chleba— albo —

— Co? przerwał Sędzia—alboż, i tu zatrzymał się, lękając nieprzyzwoitym domysłem obrazić nieznajomego.

— Tak! tak panie! rzekł cicho przybyły, nie mam co jeść! cha! cha! Nie prawdaż że to się śmiesznie panom musi wydawać, po dobrym obiedzie?

— Ba! śmiesznie, pięknie to śmiesznie! facecje! to wcale nie śmiesznie! Jedz wasan, masz tu co chcesz, może od samego rana nie jadłeś, a to już po czwartój!

— Tak, to już trzeci ranek jak nie nie jadłem, rzekł nieznajomy z uśmiechem.

— Trzeci! trzeci! zawołał Sędzia, facećje, i dziw że tu, że pan tak źle wyglądasz, jak —

— Jak trup, — podchwycił sam nieznajomy z uśmiechem, nieprawdaż, że to pan chciał powiedzieć? Wszyscy znajdują, dodał obojętnie, że podobną mam twarz do trupiěj —

— Ja, ba! facećje — ja tego nie mówię, rzekł Sędzia mrugając na P. Józefa — ale proszę jeść.

Podano, nieznajomy usiadł i zajął z pośpiechem, potem nagle jakby sobie coś przypomniał, spiesznie położył widelec i nóż na talerzu, sięgnął ręką do kieszeni bocznej surduta i spytał obracając się, Sędziego.

— Może mi pan zrobisz jeszcze jedną łaskę —

— Co? chcesz może kieliszek markebrüner? chętnie! tylko jedz pan wprzódy, żebyś czasem nie umarł.

— Nie, tego się pan niemasz co lękać, rzekł nieznajomy; — ale czy nie zechcesz kupić u mnie pierścionka. Głód i potrzeby nieodbite których niemam czém zaspokoić, zmuszają mnie do sprzedania go, chociaż mi jest bardzo droгим —

—Facecje! bardzo drogim, pierścionek, po mruknął Sędzia, pokaż no pan, może ja go kupię, dla —

—Dla żony kupisz, podchwycił pan Józef.

—I znowu! panie Józefie! ba! głupstwa gadasz—kupię dla siebie, proszę pokazać.

Nieznajomy dobył z kieszeni i podał obrączkę złotą, gładką Sędziemu. On, wziął ją w ręce, wlepił w nią oczy, przetarł je rękawem, popatrzył znowu, a nareście krzyknął głosem zmienionym.

—Facecje! to obrączka mojej żony! nasza ślubna —

—Jego żony! podchwycił nieznajomy—Ha! Proszę mi ją oddać panie Sędzio; ja jej tobie nie sprzedam, ja żartowałem tylko cha! cha! wybornie.—I uśmiechając się pokazał ogromne dwa rzędy białych jak śnieg zębów, a potem wlepił oczy w Sędziego, tak że on cofnął się krokiem. Nie puścił jednak z rąk pierścionka.

— Proszę mi go oddać, bardzo proszę —

— Nie, o! nie! facecje! Ja mam oddać mój ślubny, nasz ślubny, dalibóg własny. Zkąd go masz? powiedź.

—Już ciż pewnie nie myślisz, że go ukradł?

zawołał nieznajomy i w tej chwili pochwycił tak silnie za rękę Sędziego, że ten ze strachu puścił pierścionek, który po śliskiej posadzce, potoczył się brzęcząc daleko. Nieznajomy puścił Sędziego i jak kot rzucił się za obręczką. Podpełznął pod kanapę, dostał ją, schował, a nim Sędzia osłupiały miał czas ku niemu się obrócić, zniknął już z traktjeru.

— Tego dalipan nie pojmuję, rzekł po chwili przychodząc do siebie Sędzia, — Ba! mój własny, nasz ślubny, ten którym zaręczyłem się i zaślubiłem z moją —

I zatrzymał się.

— No cóż? boisz się wymówić imienia żony, podchwycił P. Józef.

— I znowu! wasan tylko bredzisz, panie Józefie, facecje! Ale dali pan mój własny! Tego nie pojmuję, a ten szalapat, ta trupia główka, poleciał i nie powiedział mi nawet zkądgo dostał. Hm! kieliszeczek markebrüner, panie Józefie. Ta obręczka stanęła mi w gardle, że i wina przełknąć nie mogę. Ta trupia głowa.

— Ach, dalbys już temu pokój! rzekł Józef, Bóg wie o co kłopotczesz się panie Sędzio.

Tak ci się przydało, to nie twoja obrączka, małoż to jest obrączek i cyfer podobnych!

— I znowu! facecje! Wasan same głupstwa prawisz, panie Józefie, zawsze tylko przydało się, przydało,—ale kiedy mówię że napis czytałem, datę widziałem.

— Chcesz byź tego przekonania, a zatém dajmy temu pokój. Chodź panie Sędzio, zagramy w billard jedną partję.

— Nie—nie potrafię, ręka mi coś drży—ten człowiek—

— No! porzuć że dzieciństwa, tchórzysz i mieszasz się jak dziecko.

— O! dziecko! dawno to już przestałem byź dzieckiem! facecje—

— Chodź w billard—

— Oh! I zaraz—

— Daję ci dwadzieścia fora!

— I zaraz! facecje! Na co mnie fory! Ja wasanu dam trzydzieści.— O co gramy—ta obrączka—ten trupia główka—o co gramy?

— O talara.

— Dobrze, markier! Hej, zaczynaj pan. Ta obrączka—karambol—dwanaście a trzydzieści—Jakie kije—Jaki billard—Ta obrączka.

— Chybiasz Sędzio, jakby naumyślnie — kiks, feler. — Czekał jeszcze, stoję na matce — dwanaście, dwanaście, jeszcze raz, przegrałeś.

— Bo to jakiś billard, bo ja, tfu! ta obrączka.

— Wypijem markebrüner!

— Dobrze! dla odwagi, bo jakoś — ja niewiem.

— Co? jeszcze ci ta obrączka stoi w gardle?

— Ba, facećje! nie, tylko mi mdło jakoś, duszno tutaj, — ten szalapat tak uciekł. Już to ostatni kieliszeczek. Muszę iść do domu, słońce zachodzi, zaszło nawet podobno, mam robotę jeszcze.

— A! nie godzi się Sędzio uciekać od nas, musisz zostać z nami, na roboę czas zawsze!

— I znowu, panie Józefie, facećje! Nie mogę, dalipan nie mogę, mam robotę pilną. Upadam do nóg — To już chyba ostatni kieliszeczek; — Ta obrączka!

— Ale ten jeden jeszcze —

— Ale chyba już ostatni!

— Kropla na dnie w butelce została, musimy jęj dopić Sędzio, kieliszeczek jeszcze.

— Już to chyba ostatni, facećje — bo się upiję — ostatni, panie Józefie — Ta obrączka! Hm!



III.

PAN SĘDZIA POWRACA DO DOMU.

Kołaczcie, a będzie wam otworzono.

Myśl późno wracających do domu.

FACEĆJE pana Sędziego prawie zawsze na tém się kończyły, że dobrze podchmielony powracał do domu; to się nie jednemu zdarza. Tego wieczora około dziesiątej dowlókl się do bramy swego domu. Spójrzył na okna. W jedném tylko, od pokoju jego żony paliła się świeca. Stuknął w bramę, cicho:—Drugi raz—

—Héj, otwórzcie tam, ha! facećje! czy już śpicie!

Zaczął potem nie zartem dobijać się i łomo-

tać w bramę, a gdy go zabolaty kułaki, bił nogami zniecierpliwiony. Po dłuższej męce, usłyszał wreszcie że ktoś idzie po wschodach.

—No! prędzej, zawołał Sędzia, facecje! noc zimna, dostanę kataru! Spiesz sięgapiu!

—A kto tam! ozwał się głos nieznajomy wewnątrz domu.

—Ja.

—Któż ja?

—Facecje! Ja—Sędzia!

—A czego?

—Czego! I znowu facecje! przyszedłem spać do domu!

—Spać? ha! a czy zimno tam na dworze?

—Ba! i pyta się, czy zimno! a juściż!—
Osioł przeklęty, otwieraj no, nie żartuj, bo ci nagrzeję pyski kułakiem, trutniu, niecnoto, Słyszysz no go! facecje, do miliona diabłów!

—Zaraz, zaraz otworzę.

I ktoś ten poszedł znowu po wschodach na górę, a Sędzia został pode drzwiami, drżący od zimna.

—Oni mnie dziś chcą zameczyć, facecje! Do mego własnego domu nie puszczają! powarjowali czy co! A otwórzcież lajdaki do trzysta.

To mówiąc Sędzia podniósł głowę i spojrzął na okno pokoju żony. Na firance którą zawieszono było okno, widny był cień dwóch osób. Jedna wydawała się z długimi włosami, w sukni, wyraźnie kobieta; machała niespokojnie ręką; druga w kapeluszu okrągłym, w płaszczu, wyraźnie mężczyzna, stała blisko pierwszej, chwytając ją za ręce i nachylała się, aby w twarz pocałować.

— A toż co! facecje! zawołał Sędzia, którego policzki ogień gniewu zapalił nagle. Tam ktoś jest! Zginałem! u mojej żony mężczyzna. — Ach, i ta obrączka, dalipan — całuje ją w twarz, bodaj przepadł, czy mi się marzy! Tak jest! wszak ja dopiero zacząłem rok trzydziesty dziewiąty! moja żona —

I już dłużej nie myśląc Sędzia uderzył we drzwi z całej siły, otworzyły się one na wcięż, a on jak strzała, jakby mu lat dwadzieścia odjęto, pobiegł piorunem po wschodach.

Zbliżając się do pokoju żony, zwolnił dopiero kroku i mrużąc coś pod nosem, nastawił ucha. Ale tego dnia wszystko mu się jakoś nie wiodło, właśnie, kiedy najciekawszy przykłada głowę do klamki i gotuje się podslu-

chiwać, w uchu zaczyna mu potężnie dzwonić i szumieć.

— A! przeklęteż to ucho, zawołał Sędzia, nie daje mi nic usłyszeć!

Obrócił się na drugą stronę—i w drugim uchu ten sam hałas, jakby kto grał na cymbałach. Nieprzewidziana fatalność; Sędzia stał jak na rozżarzonych węglach, czekał czy się nie uspokoi w uszach, napróżno, dzwoniło ciągle, nic słyszeć nie mógł, dzwoniło upornie, jak po dwudziestu czterech kanonikach.

Napiły, więc odważny, Sędzia widząc, że na uszy nie rachować nie może, zdecydował się nagle wbiec do pokoju żony, łapie za kłamkę i wpada jak opętaniec.

— JEZUS! MARJA! kto tam! zawołała pani Sędzina porywając się przestraszona.

— Co? ha! facećje! to ja, powracam do domu!

Wchodząc obejrzał się pan Sędzia uważnie, myśląc że zobaczy gdziekolwiek tę figurę, której cień widział tak wyraźnie na firance—nigdzie nie było nikogo. Pani Sędzina siedziała spokojnie za stolikiem i czytała książkę. Święca paliła się na stole.

— Hm! ha! zawołał Sędzia zbliżając się ku żonie, co to wasani czytasz?

— Xiązkę.

— Ba, juściż to widzę przecię, że nie trzewik, ani pończochę czytasz wasani, ale xiązkę, facećje, pytam jakaxiązkę?

— Nabożną!

— Umf! Zapewne wieczorne modlitwy? może litanją? Był tu ktoś do odpowiadania Kirje elejson? he?

— Co?

— Nie rozumie niby! JEZU Chryste, krzyknął Sędzia zapalczywiej, powiedz wasani gdzie ślubny pierścionek?

— Ślubny pierścionek? powtórzyła Sędzina, cóż to znaczy? Niewiem prawdziwie, może go zgubiłam.

— Może zgubiłam! tylko! winszuję, facećje! Kieliszeczek markebrüner! zgubiłam! Hm! a nie wiesz czasem kto go znalazł?

— Nie.

— Ja ci powiem kto.

— Słucham.

— Trupia głowa.

— Panie Sędzio! co panu jest! Oszalał!

Czy nie byłeś u kogo na obiedzie proszonym, musiałeś pić —

— Przymawiasz mi że jestem pijany! Mościapani, facećje, mam jeszcze oczy, nie zaszły mi blachmalem, widziałem przez okno, jakeście się całowali. —

— Całowali! a to coś nowego! z kimże?

— Albo ja wiem, bezecna kobiéto, wołał rozjątrzony Sędzia, zgubiłaś czy oddałaś ślubny pierścionek, całujesz się z kim innym nie ze mną, wiészże ty czém to pachnie? he? mościapani —

— Niewiém.

— Rozwodem *in forma*.

— Tylko? cóż to straszniego?

— A tylko! facećje! małoż to jeszcze? a gdzie znajdziesz takiego męża jak ja! Amalko! Ty mnie gubisz Amalko, ty mnie gubisz! Wasani nawet i teraz nie płaczesz, wasani mnie do ostateczności przywodzisz; ja umrę z żalu, z desperacij —

— Ty z żalu? podchwyciła Sędzina uśmiechając się —

— Facećje, alboż nie mogę.

— Bądź pewny że z tego nic nie będzie!

Móglbyś umrzeć z żalu, ale to chyba po stłuczonej butelce —

—Jezu Marja! zrobiłaś mnie Asani pijakiem! A! co tego to nigdy nie daruję — Idę do rozwodu, do rozwodu — Mościa Pani? mam powody, zgubiony pierścionek, nazwać mnie pijakiem — o! do rozwodu idę! Kiedy tak—to tak —

—Jak wola twoja, moja duszo, odpowiedziała Sędzina, wszystko to prawda, ale niechże mnie wolno będzie zapytać o twoją obrączkę ślubną?

Sędzia zdumiał się chwilę, potem z uśmiechem ironicznym, wystawił jęj dziesięć palców długich, suchych, kościstych, krędą i atramentem powalanych — z zupełném zaufaniem; sam jednak się pomieszał, gdy na nich nie ujrzał pierścionka, bo go w istocie nie było.

—No? gdzież jest ślubna obrączka?

—A! dalipan! facećje! bakał Sędzia jeśli wiem co się stało, chyba zgubiłem —

— Czy tak? Pan ją zgubiłeś? Pan tak mało dbasz o pamiątki naszego związku, że je gubisz po ulicach!! To ja więc, ja, idę do rozwodu! Ale wprzód/pokażę ci, że ja mam moją

obrączkę, jam swojej nie zgubiła. Patrz Pan, oto rok, oto imie twoje — a Pan gdzie swoją podziałeś?

Sędzia osłupiał.

— Ale moja duszo bądźże wyrozumiałszą, rzekł, bo ja dalipan, ja, —

— Pewnie oddałeś ją jakiej —

— A! co Wasani gadasz, Pani Sędzino, posądzasz mnie brzydko!

— Tak to twoje postępowanie na wierzch wychodzi, wzięłeś mnie młodą z domu na twoje stare lata, rozpustniku —

— Otoż jest! stare lata! Trzydziesty dziewięty, przecie! Wasani głupstwa gadasz!

— Chodzisz, mówiła dalej Sędzina, włóczysz się po nocach, pijesz, marnotrawisz ślubne pamiątki, a wróciwszy do domu łajesz i znieważasz żonę —

— A! faceėje! dalipan, ja się rozczulam! co bo Asani gadasz! Ja dalipan nie wiem co się z tym pierścionkiem stało — Jak mi Bóg miły nie wiem, Pani Sędzino Dobrodziejko!

— Tak, teraz się uniewinniasz, a przed chwilą łajałeś i groziłeś, tyś nie nie winien! Co twoje za życie? Całe dni do późnej nocy

trawisz na billardach, na pijatyce z godnymi koleżkami, a mnie na wieczne nudy zamykasz w domu, zapominasz o obowiązkach, o wszystkim dla rozpusty —

— Ale Pani Sędzino! krzyknął Sędzia, niech mnie ciężkie лихо porwie, jeśli ja wiem co się z tą obrączką stało. Dziś jeszcze miałem ją na palcu. Jestem niewinny klękam i przysięgam.

— Jednąż to już złamałeś przysięgę?

— Pani Sędzino! Amalciu! cierpliwości mi braknie, prawdziwie; dalipan jeśli o to chodzi, ja gotów jestem —

— Idź spać —

— Istotnie czas, dobranoc, pani Sędziniej.

IV.

S T A R A.

Kobięta, jest to zlepek z tchnienia
aniołów i uczuć szatanów.

Niewydane poezje, XIX wieku.

—**N**o, mam pieniądze Gustawie.

—**J**uż masz znowu?

—**A** mam, dobrze to mieć kochanki, osobliwie zamężne —

—**W**ielce się im dziwuję, jak z twoją trupią twarzą, kochać ciebie mogą.

—**M**ylisz że i ja się nie dziwię temu? To prawda, że mam szczególne do trupiiej głowy podobieństwo, wszyscy to uważają. Ona nawet,

co mnie przywykła od dzieciństwa widywać, Amalja, niekiedy to mówi. Szczególne przeznaczenie, chodzić po świecie z trupim pyskiem i ludzi straszyć. To tylko szczęście, że w tej okropnej twarzy, jest tajemniczy wdzięk i niepojęta władza! Spójrzeniem pociągam razem gdy straszę, kobiety giną za mną!

— Cicho, dość, nie pierwszy to raz już słyszę — Mówiłeś mi że masz pieniądze, chodźmy jeść do starój.

— Pójdziemy, a która godzina?

— Zapewne blisko piątój, słońce już się znacznie zniżyło.

Wyszli tak mówiąc z mizernego domku na Antokolu i pociągnęli ku miastu.

Tłumy ludu i wszelkiego stanu osób korzystając z pięknej pory wieczornej, przechadzały się za miastem. Kocze, karéty, drażki, leciały w tumanach pyłu na Antokol, do Sapieżyńskiego ogrodu. Pieszce pary powracały powoli do domów, rzemieślnicy to byli z żonami, niżsi urzędnicy, ubożsi kancelliści, adwokaci; a na ich twarzach więcej było wesołości, niż na tych które wyglądały z powozów.

Bulwary jasnialy tysiącem różno barwnych

kapeluszków, wstążek, szarf, sukienek, chustek; mnóstwo urzędników, wojskowych, pań, panien, sunęło się tam i nazad po nad brzegami Wilij, pod cieniem wyniosłych topoli.

Na jednej z stojących tu ławeczek, siedział mężczyzna z kobietą. Mężczyzna był mały, krępy, tłusty, łysy, w granatowym starym fraku z krzyżykiem, w żółtej kamizelce, w palonych bótach, w kapeluszu białym, trzcinę miał w ręku, a mnóstwo dewizek na żołądku brzękało.— Kobieta, jego towarzyszką, była młoda jeszcze, blada bardzo blondynka, miała w oczach niebieskich wyraz nieopisany anielskiego smutku. Każdy z was wie, bo każdy raz w życiu widział te oczy smutne niebieskie, łzawe, omdlewające, które umierającego wciągnęły by nazad na świat, gdyby się z jego spojrzeniem spotkały. Ten pan i ta pani był to Pan Sędzia i Pani Sędzina.

Dwaj bracia szli z Antokola przez bulwary, Karol zasłonił oczy kapeluszem i leciał jak szalony. Gustaw, jak mógł za nim dążył. Wtém, kiedy oba tak śpieszą, ktoś im zastępuje drogę.

— Za pozwoleniem! odzywa się, proszę pana, dwa słówka panie, facecjo! poczekaj chwilę.

— Dla czegoż?

— Chciałem się Pana spytać! Wszak to Pan byłeś w traktjerze, kiedy—

— Kiedy co? mów pan, spieszę się—

— Zaraz, kiedy ja byłem i—

— Kiedy pan byłeś pijany może?

— I zaraz! Wasan zawsze głupstwa gadasz, facecje! Ja nie byłem wówczas pijany i dobrze się przypatrzyłem pierścionkowi, który mi WPan pokazywałeś. Zkąd go wzięłeś, gdzie podziałeś, o to się teraz pytam?

— Ja? pierścionek! Ja Pana pierwszy raz w życiu widzę, daj mi pan pokój—

— Ba! facecje! pierwszy raz! Ja się nie myślę, niema takich dwóch twarzy na świecie, przecież jadłeś, piłeś markebrüner.

— Wszystko to czyste przywidzenie! daj mi pan pokój!

I odszedł prędko Sędzia powoli na ławeczkę do żony wrócił, i usiadł ruszając ramionami a głęboko wzdychając.

— Oh!

— Cóż to panie Sędzio.

— Oh! nic!

— Co ci takiego? cicho pytała Sędzina.

— Nic! Wtém Sędzia spójrział na żonę, i z kolei odezwał się:— O! a Wasani czegoś taka blada? Co to jest? zmiłuj się, nie omdle-
waj tutaj, jeśli koniecznie masz omdleć, chodź do pawilonu. Tam przynajmniej znajdziem komu ratować, trzeźwieć, a tu, ja nie dam rady.

— Nic to, nic, nie bójże się tak, Panie Sędzio, to przejdzie, źle mi się zrobiło, to zapewne krew uderzyła mi do głowy.

— Tak! krew, facećje! i dla tego pobladła; co też gada! pobladła jak trup.

— A fe! cóż za obrzydliwe wyrażenie. Sędzina się wzdrygnęła.

— Może, moja duszo, rzekł Sędzia po chwili, pójdziemy się przejść po Sapieżyńskim ogrodzie, tam mniej pyłu. Dziś nawet podobno biją fontanny, chciałbym zobaczyć, chodź, chodź Pani Sędzino.

— Nie, do Sapieżyńskiego ogrodu nie pójdę.

— A dla czegoż? mogłaś tyle razy przecie.

— Co Pan mówisz? Sędzina znowu pobladła i zadrżała.

— Nic nie mówię, tylko się duszko nie

irrytuj, widzę, że ci niedobrze — gotów jestem do domu ci służyć.

— Chodźmy do domu. I poszli.

Dwaj bracia weszli tymczasem w miasto i kręcili się zaułkami, póki się nie zbliżyli do jednego domku, na brudnym żydowskim zaułku. Kto nie był w Wilnie i nie przebiegł tych dziwacznych zakątów miasta, w których się wszystkie jego kryją brudy, ten wyobrazić sobie nie potrafi, co to zaułek Wileński — i dom na zaułku. Opiszem tylko ten, do którego szli nasi dwaj bracia.

Z przodu od ulicy widać tylko było wysoką jego ścianę, nie mającą koloru, poznaczoną wzdłuż zaschłemi strugami wylewanych pomyj, spękaną i brudną; w niej wisiała stłuczona brama na jednej zawiasie, a w tej otwarta furtka wewnątrz prowadziła pieszych, zwieszona nad samym rynsztokiem, który sączył brudne wody po dnie najeżoném wszelkiego rodzaju szczątkami, jarzyn, owoców, mięs. W oknach wychodzących na zaułek, jednej całej szyby nie było, niektóre z nich były pozamurowywane do połowy, inne pozatykane. Wszedłszy do środka domu, po prawej ręce widać

było wschody brudne, zbłocone i ciemne. W głąb ciągnął się dziedziniec brukowany, pełen śmiecia i gnojów, a na około wewnętrznych ścian kamienicy ciągnęły się z pierwszego piętra chwiejące galerje, na które wychodziły ciemne okna tylnych mieszkań. Gdzie niegdzie z górnych pięter spuszczała się w dół rynna drewniana, po której ściekały wiecznie zlewane nieczystości i pędziły środkiem dziedzińca łącząc się z rzeczulką płynącą w bramie domostwa. Chude psy wałęsały się na śmieciiskach, a koty miauczały na dachach.

Dwaj bracia pominąwszy wschody na prawo idące w kamienicę, weszli dalej w dziedziniec i galerją udali się aż do drzwi w końcu na lewo położonych. Karol idący przodem zastukał raz, dwa, trzy; stukanie rozległo się po kamienicy, w której chwilą wprzód głęboka panowała cisza. Kilka kotów zbudzonych przebiegło galerjami, zamiauczało i znikło. Stara baba wysadziła głowę z jednego okna i chropawym głosem odezwała się:

— A kto to tam?

— To ja.

— To ty! a! zaraz otworzę.

W istocie wkrótce drzwi się otwarły i dwaj bracia weszli do ciemnych sionek, zapakowanych beczkami, cebami, balijami, balijkami i necułkami. Te pominąwszy znaleźli się w dość ciemnej izbie, brudnej jak dom cały.

— Stara, odezwał się wchodząc Karol, dawaj jeść, mamy pieniądze.

— Chwała Bogu, odezwała się kobieta szydersko, spoglądając zpod nawisłego czépka; Pan Karol wydurzył już u jakiegós.

— Cicho, stara, cicho, dawaj jeść.

— Dobrze, ale dajże pieniędzy, pójdę kupić, bo w domu nic niéma.

— Ba! jak wezmiesz pieniądze, to tyleśmy ciebie i jedzenie widzieli.

— Pamiętaj no, odezwała się stara obrażona, że jeśli mi ty przycinać zaczniesz, to i ja mam ci się czém odciąć.

— Cicho, stara sekutnico, krzyknął Karol.

— Otoż nie będę cicho, wrzasła stara, będę ci bić w uszy, będę przypominać moją córkę. A gdzieś ją podział — a cóś ty z nią zrobił, lotrze!

— Twoja córka! cha! cha! Albo ja wiem, co się z nią stało, rzekł Karol, kołysz się

może na kolanach nowego kochanka, wszak ich miała krociami.

— Prawda! przerwała stara z gorzkim wyrzutem, ale kto ją nauczył tego przekłętogo kochania? Kto ją rzucił w ten świat kochanków, zerwawszy z jej ust pierwszy niewinności pocałunek — a ostatnie tchnienie jej cnoty! O! Panie Karolu! tyś biały na twarzy, ale dusza twoja czarna przed BOGIEM! A te nędzne mieszkanie, do którego doszłam na starość, czy to nie z twojej łaski. Byłam niegdyś w daleko lepszej doli, a teraz ty mi twoją nędzną zapłatę wymawiasz!

— No! porzuć babo te błazeństwa, przerwał pięścią o stół bijąc Karol. Dasz nam co jeść, czy nie? pójdę gdzieindziej, niewstrzymany babski języku, kwoko stara!

— Dam ci, dam jeść, mój Panie, kiedys się jeszcze nie najadł tylą ludźmi, których popędzałeś do grobu, obmierzły trupie.

Karol porwał się z miejsca, poskoczył do stariej z ściśnionemi pięściami, oczy jego iskrzyły się okropnie, usta miał otwarte i sine, z których białe zgrzytające świeciły zęby, bladość śmiertelna okrywała twarz jego.

— Stara! krzyknęła, strzeż się, znasz mnie, wiesz już co ja umiem.

— A cóż umiesz? zabijać! — wzrokiem i ręką, przerwała nieustraszona, ale moje dni policzone, nie boję się nikogo, dość już żyłam na tym świecie, stanął mi świat w gardle kością.

— No, bez lamentów, dawaj jeść, jeśli masz co, i koniec.

Przez cały ciąg téj rozmowy Gustaw wcale się do niéj słowy ani ruchem nie wmięszał, stał w oddaleniu milczący i przebierał palcami po szybie stłuczonej.

Stara poszła nareszcie do szafki stojącej w kącie, wyjęła z niéj potłuczone półmiski, talerze, zaschłą pieczeń i inne resztki obiadu. Jak tylko postawiła je na stole, Karol rzucił się chciwie i pożerał, rozdzierał, chwycił, rozrzucał kości do koła, nie odzywając się ani słowa więcej. Gustaw niekiedy ukradkiem patrząc na niego jadł powoli, wkrótce wstał jakby nasycony, i milczący, poszedł znów bębnić palcami po szybie.

Karol dłużej siedział za stołem, potem otarł usta, rzucił dwa złote, porwał płaszcz

i czapkę i trzaskając drzwiami się oddalił. Gustaw pozostał; za ledwie usłyszał jak Karol pobiegł po galeryi i oddalał się, odstąpił od okna, siadł za stołem, podparł się na łokciu i rzekł cicho do starój:

— Cóż moja stara?

— Nic nowego, Panie Gustawie, jeszcze mi serce krwią zabiega, wspomniawszy na twojego niegodziwego brata.

Gustaw westchnął lecz milczał.

— Co za poczwara, mówiła dalej stara trzęsąc głową, co to on kobięt pogubił, a żeby kiedy pożałował, żeby do niego kiedy przemówiło sumienie. Wszakże to, Panie, nikt z nas bez grzechu, ale człowiek się przynajmniej przed sobą wypowieda, pożałuje, a on!

— Daj mu pokój, rzekł Gustaw, znam już ja jego lepiej od ciebie, całe jego życie w rozpucie i szale; całe życie w nadskakiwaniu kobiętom, które dziś kocha, jutro porzuca, zwozując bez miłosierdzia.

— O! biędna moja Krysia! rzekła stara z oczyma łez pełnemi, taka była dobra, miła, łagodna, póki jój nie poznał. I cóż? wieszże? Pamiętasz, Panie Gustawie, kiedy wróciwszy

z podróży, zastałeś już moją Krysię grymasną, dziwną, po głowie jej chodziły tylko karęty, perły, piękne suknie i drogie kamienie, we śnie nawet, biedna, szalona Krysia, przypominając słowa zwodziciela, chwytając franki starego łóżka, wołając, żeby jej podali suknię balową. Biedna uciekła od stariej, niedołężnej matki do świata i dla świata! dla pustej młodzieży, która uważa ją tylko jak podłe i niegodne żadnego względu, chwilowej swojej rozkoszy narzędzie! Uciekła, zmarnotrawiwszy wprzód to, com dla niej całe życie z uszczerbkiem zdrowia i wygod zbięrała. Teraz prawda jeździ ona w karęcie, ale nie na długo; mało warte to szczęście, które się na pięknej twarzyczce opiera, mało warte szczęście, któremu obca cnota i sumienie. Okropna to rzecz, Pannie Gustawie, mieć serce matki na to tylko, żeby niém czuć wszystkie cierpienia, jakie tylko są na świecie, a żadnej, żadnej biednej pociechy!

To mówiąc stara poszła do okna ociérając łzy fartuchem.

V.

K I L T.



Jakiem szczęściem jest umrzeć, gdy życie jest
nam tylko nudnym, czczym wieczorem dnia
niecznośnego!

Mysł w czasie niestrawności.

ŚWISTAŁ wesołą piosnkę Pan Karol idąc późnym wieczorem na Antokol. Noc była posępna, wiatr szumiał jesienny i niósł w swoich chłodnych objęciach liście drzew żółte, zwiędłe kwiaty, dymy kominów, turkot oddalony pojazdów i szum płynącej rzeki.

Pan Karol zbliżał się do małego domku. Stał on nad drogą, nad rzeką, wśród krze-

wów i drzew kilku; w jedném oknie płonęła świeca za firankami. Otaczał go ogródek niewielki, ścieżka przezeń prowadziła do drzwi. Wewnątrz było cicho. Karol zbliżył się do okna, słucha — wiatr tylko szumi, wtém dźwięk fortepianu poruszonego tak lekko, jakby po jego strónach wiatr tylko przeleciał, uszu doleciał. Usłyszał potém piosnkę cichą, piosnkę Filona i Laury, nuconą miękkim głosem kobiecym, ale tak zwolna, tak ostróźnie, jakby się lękano zbyttem hałasem obudzić kogo. Dźwięk fortepianu połączył się ze śpiewem i płynął powolnie. Karol zakrył twarz rękami, zadrzał i okropne westchnienie burzy wyrrywającej się z chmur uleciało z jego wzdętych piersi. Potém stuknął w okienko, muzyka głuszyła jego stukanie; mocniej raz jeszcze drugi, świeca za firankami zagasła.

Karol nadstawił ucha; jeszcze konał obumierający dźwięk pieśni: powoli, cicho otwarło się okienko, podniosła się firanka i postać kobiety w bieli zabłysła.

— To ty Karolu? odezwał się głos cichy.

— To ty Maryniu! rzekł Karol udając i prześmiewając jej zdziwienie.

— Chodź! powiedziała kobiéta; Karol jednym susem wskoczył przez okno do małej izdebki, z wolna, po cichu zamknął okno za sobą i firankami zapuścił.

— A! jakże dziś długo czekałam na ciebie, odezwała się kobiéta. Myślałam, że już nie przyjdiesz. Byłam temu prawie rada, Karolu, bo mnie jakiś smutek ogarnął, poczułam, że niepowinnabym ciebie tak przyjmować. A! gdyby mój ojciec wiedział, on tu blisko, leży złożony chorobą, śpi spokojnie, w jego siwej głowie ani powstała myśl, podejrzenie, że córka — Karolu!

— Daj pokój, Maryniu! to są dzieciństwa. Cóż złego, że ja tu jestem z tobą? wszak kocham ciebie, wszak —

— A czy nikogo więcej nie kochałeś tak jak mnie teraz, nikogo? żadnej kobiety?

— Ja?— nie! Cóż to za myśl! Jak to? musiał ci ktoś nagadać bajek, Maryniu. Chodź duszo! siądziem, uściśniem się, ogrzejem, noc taka zimna, ja tak zmarzłem idąc przez Antokole.

— Czy już żałujesz tego, żeś tu przyszedł?

— Ja? znowu jakieś szczególne pytanie.— Kocham ciebie, i gdyby mi przyszło życie, gdyby —

— Daj pokój! słyszałam nieraz te przysięgi i zaklęcia. Pięknie one brzmią w twoich ustach i w mojej duszy, ale któż mnie zapewni, że to wszystko prawda?— Ty możesz przysięgać, a dla tego kochać inną.

— Cóż ci się dziś stało, Maryniu! ciągle podejrzenia, ja tego prawdziwie pojąć nie mogę.

— A jednak to pojąć tak łatwo, byleby chcieć, czyż nie wiesz jak to okropnie być zdradzoną, jak się tego lękamy?

— A na Boga! dośćże tego, dość! proszę cię, siądź koło mnie. O tak, rączkę mi daj, pozwól ustek! Co za pocałowanie! Czegóż wdychasz? czego tak drżysz, mój aniele! cóż to usta moje na twojej twarzy spotkały?

— Łzę! zawołała innym głosem odskakując od niego kobieta, ty mnie nie kochasz, tyś zdrajca!

— A! czyżże to głos! krzyknął porywając się Karol, i odskoczył do okna załamując ręce z przestachu. Marjo! to nie Marja! ty jesteś — <http://rcin.org.pl>

— Jestem pierwsza twojej młodości kochanka, ja jestem Amalja.

— Amalja!

— Nie wiedziałam, nie spodziewałam się, mówiła z szlachetną dumą kobieta, żeby twoje wiarołomne usta mogły wyrzec słowo jeszcze w tej chwili, któraby drugiemu mowę i czucie odjęła. Rozdarłeś na wicki to serce, Karolu, serce, które się rzucało do ciebie przez tysiąc niebezpieczeństw i cierpień. Nie było w życiu mojem okropniejszej chwili. Ty jeden zostałeś mi na świecie, tobiem poświęciła wszystko, a ty, ty tylko udawałeś! Wolałabym była tysiąc razy, milion razy, żebyś mi był powiedział, że mnie nie kochasz!

Karol stał w milczeniu, słyhać tylko było ciężki oddech jego, słowa jednak nie wyrzekł. Wtém lekki szelest od strony okna doleciał ich uszu. Amalja płacząc i łkając mówiła dalej:

— Idź, idź ztąd Karolu, żegnam cię; dziękuję ci nawet za te chwil kilka szczęścia, które w słodkiem spędziłam omamieniu. Sądziłam, że mnie kochasz!

Gdy to mówiła jeszcze, drzwi się otwarły z trzaskiem, blask uderzył na pokój, Karol

rzucił się do okna, Amalja krzyknęła i padła na łóżko, a głos we drzwiach dał się słyszeć:

— Facecje! a ja dawno mówiłem, że się to na tém skończy. Ba! otoż jest Pani Sędzina i — dodał Sędzia świecąc w oczy Karolowi, który osłupiały z podziwienia, nie uciekał nawet — i Pan Trupiaglówka — ha —

— Co ty tam bredzisz stary koźle, zakrzyczał w téj chwili Karol, groźną przybierając postawę.

— Słyszycie! koźle! Kozłem mnie nazywać jeszcze! facecje! dla tego, że mi dał rogi. Ha! Co tu robiłeś złodzieju! co tu robiłeś z moją żoną?

— Z twoją żoną? to żona twoja!

— A tak; złapałem cię na uczynku ptaszku. Czegoż to Pani tak tulisz główkę w poduszki? Śliczna żona! Słyszysz! rzekł znów do Karola, po cóś tu wszedł? co tu robiłeś, no, mów, trutniu! bo cię zduszę! zawołał coraz zapalczywiej.

— Powoli! na co ten zapal, rzekł chłodno Karol, ja dawałem Pani Sędzinie lekcya znajomości serca ludzkiego.

— Lekeje. I znowu, słyszycie! facecje! po

ciemku, lekcje! to lubię! Waćpan mnie masz za dudka?

— Tak jest, za dudka, odpowiedział Karol spokojnie, za czubatego dudka w dobrym gatunku.

— Co! ty trupie! ty! ja cię nauczę, krzyknął usłyszawszy to Sędzia, a potem jakby nie wiedział co począć, obrócił się do żony i trzęsąc nią zawołał: — Wstań Wasani, podnieś głowę, z kolei proszę mi powiedzieć, co tu robiłaś? — Ciągnę śledztwo, gadaj Wasani, gadaj, co to był z tobą za rozbojnik!

To mówiąc trącał ją Sędzia, ale ona twarz miała skrytą w poduszki i nie chciała podnieść oczów, Karol patrzył i szydersko się uśmiechał, uśmiechał się szatańsko. Coraz bardziej rozjątrzony Sędzia, porwał ją za rękę, ręka opadła bezwładna, postawił świecę przy łóżku, wpół ją pochwycił, spójrzył na twarz — Błada była, łzami zalana, łzy płynęły jeszcze, dusza już na nich wypłynęła. Sędzia krzyknął okropnie — Karol poskoczył ku niej, chwycił za rękę, odepchnął go silnie mąż i zawołał z boleścią.

— Ona nie żyje, on ją zabił. I wtem rzu-

cił w oczy Karolowi lichtarz, którego porwał z podłogi. Łotrze! krzyknął goniąc — zbójco, zabiłeś ją! Nie żyje! nie żyje! — Karol wybił okno, wyskoczył i uciekł na miasto, Sędzia pobiegł w głąb domu.

VI.

W Ó Z.



Miłość otwiera bramy szczęścia na chwilę,
śmierć na zawsze.

Myśl przy zgonie.

— Droga moja! wieczor już blisko, wkrótce się rozstaniem!

— Rozstaniem! co za wyraz okropny! na tożeśmy się poznali, pokochali, żeby się rozstać?

— Nie bój się duszo, to rozstanie na chwilę tylko, twój Karol nigdy cię na dłużej nie opuści, będzie twoim do grobu!

— Do grobu! ach! niechże ten grób będzie daleko, żeby mój Karol był jak najdłu-

żej moim. Za grobem Karolu, ty już moim nie będziesz?

Karol porwał się jakby go co rzuciło, wyrwał się z objęć dziewczyny, przeszedł parę razy po izbie miotany wyraźną niespokojnością, i rzekł cicho nareszcie:

— Któż wie co będzie za grobem? może— może i tam się spotkamy!

— A wolnoż tam będzie kochać? spytała dziewczyna.

— O! nie wiem tego.

— Mój drogi! czegożeś taki smutny?— chodź, chodź, siądź na moich kolanach, pocałuj mnie, patrz jakim ogniem twarz mi pali. A serce, serce! tam taki pożar! tam co się dzieje, nie wypowiem. Chodź, chodź mój drogi!

I porwała go za ręce i mimo woli prawie pociągnęła do kanapy, posadziła przy sobie, objęła białymi rączkami, jak brzoza wieszająca się na smutnej jodle, i palącą ogniem twarz swoją przyłożyła do jego twarzy i usta wkleiła w jego usta. Oczy Karola zaiskrzyły się, uchwycił ją wpół, powtórzył rokoszny pocałunek, pochylił głowę na jej piersi i westchnął.

Wtém na ulicy dał się słyszeć głos dzwonu, a potém pieśń. Któżby nie poznał téj pieśni, która towarzyszy ludziom do grobu, pierwsza i ostatnia z jego prawdziwych przyjaciół? Potém zabrzmiała muzyka ponura, potém znowu głos dzwonów, potém głos xięży.

Usłyszał to Karol i porwał się jak piorunem rażony, dziewczyna pobladła, osłupiała i dwie lzy brylantowe potoczyły się po jéj twarzy. Uchwyciła za szyję kochanka i ścisnęła go mocniej jeszcze, przytrzymując długim pocałunkiem.

Tymczasem pod oknem brzmiała muzyka pogrzebowa. Karol chwycił dziewczynę w pół i z nią razem zbliżył się do okna, uchylił firanek.

Wóz czarnym całunem pokryty zwolna ulicą się przesuwiał, ciągnęły go cztery konie w czarnych kapach, czarny woźnica popędzał, czarni ludzie z zakrytymi twarzami utrzymywali na wierzchu trumnę zamkniętą, z której długa biała floransowa suknia spadała aż do ostatnich wozu stopni i powiewała na nich szeszcząc. Za truną nie było nikogo, tylko kilku sług i jeden czarno ubrany mężczyzna ze

świecą w ręku. Sędzia szedł za wozem żony i płakał.

Karol spójrzał i mgnieniem oka obejrzał wszystko, co ta scena miała rozdzierającego w sobie. Odskoczył potem od okna i z okropnym, kolwulsyjnym śmiechem, z obłąkanym wzrokiem rzucił się z dziewczyną na kanapę. Pocałował ją, uścisnął, rozśmiał się straszliwie i śmiał się długo głośno, jak gdyby chciał pieśń pogrzebu i głos dzwonów i muzykę zagłuszyć.

— Ty płaczesz? odezwał się do dziewczyny. Po kimże to? wiesz ty kogo chowają? kogoż łzami żałujesz?

— Nie wiem sama! odpowiedziała ona, ale ta trumna, ten pogrzeb, patrząc smutno mi się zrobiło, to kobietę chowali, a i ja jestem kobieta.

— Chowali człowieka, a i ja jestem człowiek, odparł zimno Karol.

— Tak, ale tyś mężczyzna, ty za życia przynajmniej masz świat cały, a kobieta ma tylko jednego, często wiarołomnego mężczyznę!

— Daj no pokój, nie lubię tych skarg słuchać! rzekł Karol. Kiedy ja przychodzę po-

winnaś być wesola, powinnaś mnie, kiedym smutny, rozweselać, nie dodawać smutku. Porzuć te beki. Umarła? i cóż strasznego? wszak pomrzemy wszyscy, czegoż się lękać śmierci? W grobie tak spokojnie, wierz mi droga, spokojniej jak na tym świecie!

— Wierzę, ale wolę jednakże żyć z tobą. Uściśnij mnie, proszę, tak jak ściskałeś, kiedym raz pierwszy dozwoliła się uściśnąć? pamiętasz?

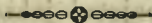
— Tak jak raz pierwszy!! cha! dziewczyno, chcesz za wiele. Pierwszy uścisk jest jeden, nikt go powtórzyć nie potrafi, ten pierwszy, jest pierwszym i ostatnim.

To mówiąc Karol podszedł do okna, ona powoli za nim przysła, spała głowę na jego ramieniu, westchnęła, objęła go czule. Ale on nie czuł uścisku, on patrzył w ulicę, na której zdaleka czerniał wóz śmierci, a na nim powiewała biała suknia — on słuchał do uszu jego dolatujących dźwięków muzyki grobowej. Dziewczyna spojrziała także w kierunku ukochanych oczu, lzy jej popłynęły znowu, w sercu jej dzieciennem jeszcze okropna sprzeczność miłości i śmierci pomieścić się nie mogła. Karol

patrzył długo, a kiedy na zawrócie ulicy wóz czarny zniknął mu z oczów i raz ostatni biała suknia mignęła, zarzucił firankę, odskoczył i porwał wpół kochankę śpiwając, a ze łzami na oczach, ze łkaniem w piersiach. Taki bywa człowiek!

VII.

HRABIANKA.



Serce kobiety jest dla wszystkich otwarte,
głupi kto z tego nie umie korzystać.

Myśl wyrojona po dobrym obiedzie.

— Doprawdy??

— Jak mi Bóg miły.

— E! żartujesz sobie.

— I zaraz, facecjo, żartujesz? To prawda, jak dziś dzień.

— Ale to niepodobna!

— Jak to niepodobna, kiedy się stało!

— Ty sam byłeś u Hrabiego?

— Sam byłem.

— I to ten, ten, którego ty nazywałaś Trupią główką, jakimże sposobem?

— Otoż to.

— On to uprowadził!

— On.

— Hrabiankę uprowadził! ona z nim uciekła, z tym brzydalem!

— Uciekła! *notandum*, facecje, że zabrali z sobą wszystkie, jakie były pieniądze, a to nie facecje, liczą na półtora tysiąca czerwonych złotych.

— Rzecz niepojęta! jakże się to stało?

— Serce krwią mi zabiega! facecje! kiedy wspomnę tego urwisa, który mnie żony pozbawił. Waćpan wiesz jego awanturę z moją żoną! Szczęście, że wówczas uciekł, byłbym mu jego paskudne łbisko kijem roztrzaskał, bo już nawet po kij poszedłem, rzuciwszy mu lichtarzem w oczy; ale ten łotr, zbójca, tchórz, infamis! uniósł się oknem, bodaj był kark skrecił.

— No, ale o Hrabiance mówić miałeś!

— Ledwie mi pierwsze łzy oschły po nieboszczce Sędzinie, niech jej wieczna światłość świeci, facecje! dowiaduje się ja z boku, że

u Pana Hrabiego począł bywać, młody jakiś bogacz, Francuz niby. Wiesz Waszmość, że Hrabia zapalony gracz, a kto gra tylko, ma wstęp do jego domu i dobre przyjęcie. Tak się i on cudzą przybrawszy postać, tam wkręcił. Kobięty, które go tam widywały, mówiły o nim, między innemi, że w twarzy ma szczególny wyraz i podobieństwo do trupiej głowy, że choć wstret wzbudza w jednych, drugich pociąga ku sobie osobliwszym sposobem; mówili mi nawet, że Hrabianka już szaleje za nim.

A! pomyślałem, pójdę, polecę tam, facecje; zobacze go, powiem Hrabiemu, co to za jeden, bodaj się nie święcił, lotr. Było to wieczór, kiedy tak myślałem, siedziałem w traktjerze, piłem markebrüner, przypomniała mi się moja Amalcia, lzy się potoczyły w kieliszek; wypilem je z winem i zasnalem sam nie wiem jak na kanapie. Potem późno było isc do Hrabiego, poszedlem az nazajutrz rano — ale juz za późno, facecje! Wchodze, caly dom w ruchu, wschody pelne osob roznego stanu, plci i wieku, gwar, zamieszanie, krzyki, pomyslałem, ze i tu juz musi byc pogrzeb, jak u mnie, kiedy ta trupia glowa zawitala,

bodaj go porwało! Idę jednak, myślę sobie, zmówię nad ciałem trzy zdrowaśki, to może ta biedna duszyczka z kolei przemówi tam za moją Amalką do BOGA — wchodzę — niema pogrzebu, tylko, facećje, Hrabia łamie ręce i lamentuje. E! to nic, myślę, to ktoś niestrawności dostał, bo u tych Panów, kiedy na żołądek zasłabną, największa niespokojność. Aż nie! mówią mi, że Hrabianka uciekła z tym to jegomością. Tu ja dopiero wszystko opowiadam Hrabiemu, o mojej żonie, o awanturze, całkiem jak to było. Hrabia płakał jak dziecko, wyszedłem od niego, porzuciwszy nieboraka we łzach. Prosto ztamtąd idę — największa wszystko prawda, Panie Józefie, szczerą prawdą.

— W istocie, dziwna historja, ja tego pojąć nie mogę. Hrabianka przecie wychowana była w klasztorze!

— Ba! facećje! Panie Józefie, cóż to, czy klasztor broni od złych oczów? czy z klasztoru wychodzą panienki czyściejsze, pewniejsze, anioły? Oj nie, nie! Panie Józefie, takie same oko w oko, jak i drugie, jeśli jeszcze nie gorsze, jak te, co się wśród świata chowają,

facecje! Wypijmy jeszcze kieliszeczek Panie Józefie, na frasunek dobry trunek, facecje!

— Ha, wypijmy!

— Héj, tu butelkę markebrüner — podaj sam, chłopcze!

— Do Jegomości.

— Upadam do nóg! za twoje zdrowie, no kończmy te, facecje, butelkę!

— Dobrze, chętnie! Ta awantura wyjść mi z głowy nie może.

— A! i mnie. Ten łotr ze swoją poczwarną twarzą wszystkie nam kobiety pobalamucił; żebyż było za kim szaleć! facecje! ale to! — no! Piję na jego wieczną zgubę!

— I ja z wami. Dokądże, powiedz, uciekli?

— Tego nikt nie wie! Aha! facecje! gdybym to ja wiedział, sambym poleciał temu łotrowi Hrabiankę wydrzeć!

VIII.

NIESPODZIEWANE OŚWIADCZENIE.

Wszystko mija, miałaby miłość
bydź stałą?

Exkuza XVI wieku.

POLUDNIE było, ale dzień jesienny i słotny, niebo całe w chmurach jakby za firankami ukryte, lało deszcz rześisty. Wicher latał po ziemi, swistał, szumiał, ogromne drzewa uginał pod sobą jak słomki, kruszył gałęzie, obrywał resztki liści; rynny, ryszutki wody były pełne. Miasto całe miało minę zapłakaną, drążki okryte cératowemi parasolami wlokły się powoli po bruku, żywěj duszy nie było w ulicach, chyba gdzie odarta żydówka, lub mieszcza idąca po

wodę, pokazywała się z fartuchem na głowie, zakasana wyżej kolan, biegnąc co tchu skryć się od niełitościwej ulęwy.

W jednym domu na wileńskiej ulicy, w pięknych pokojach pierwszego piętra, siedziała młoda kobieta zajęta haftowaniem, spoglądając czasem za okno w ulicę, czasem na drzwi, jakby kogo niespokojnie oczekiwała. Po chwili, przestała robić robotę, sparła rękę na kolanach, głowę na rękę, westchnęła i dumiała. Powiodła okiem po pokoju, potem spójrzała za okno, potem za drzwi, westchnęła znowu i zaczęła haftować.

Ile razy zaturkotało co na ulicy, podnosiła się żywo zobaczyć kto jechał; w oczach jej i twarzy, malowały się kolejno przestrasz, obawa i nadzieja i smutek.

Było południe, minęło południe, nareście zadzwoniły drzwi w sieniach, kobieta porwała się od krosienek, wbiegła do drugiego pokoju i stojąc na progu, wychyliła głowę ciekawie, patrząc kto wejdzie.

Wszedł oczekiwany Karol. Ona wesoło podskakując przybiegła ku niemu; ale on był smutny, milczący. Zrzucił z siebie cératowy

plaszcz cały zlany deszczem i upadł na krzesło. Zbliżyła się ku niemu niespokojna i spytała czule.

— Jakież z miasta nowiny? mój ojciec?—

— Dajże mi pokój z tym ojcem przeklętym! odezwał się porywczo wybuchając Karol, odpychając od siebie jej rękę. Stała kobieta ledwie mogąc łzy utrzymać, zachwiała się, potem powolnym krokiem oddaliła się i siadła do krosien. Wzięła igłę, ale za łzami, które biegły jej do oczów, nic robić nie mogła, rzuciła igłę i zakryła twarz chustką

Karol spójrzył złośliwie, plunął i uśmiechnął się szatańsko.

— Tfu! co za przekłeta natura! krzyknął grubjańsko, płakać dwadzieścia razy na dzień; byle kto tylko palca zakrzywił, są łzy na pogotowiu, warto czy nie warto. Otoż to kobiety!

— Ale Karolu—

— Ale, cóż mi powiesz? Powiesz mi że to z mojej przyczyny, zem ci za ostro odpowiedział, żeś ty Hrabianka, do takiego obejścia się nie przywykła! Cha! cha! życie kochanka i kochanki nie powiązanych stulą kapłańską, musi

się wyrzec ceremonij. Żyje się jak może, jak przypadnie — a nakoniec—Cóż chcesz, żebym ciągle udawał, taką miłość jak wprzód?

— Udawał! Zawsze żeś udawał tylko? nie obiecywał żeś kochać zawsze i szczerze?

— Obiecywał! Przymusze moje serce żeby cię kochało, kiedy nie chce! śmieszna kobieta! Myślisz Izabello, że twoje wychowanie, tytuł, łzy, ceremonjalne obejście, ustalić potrafią serce moje! O! co z tego to nic nie będzie! Ja zawsze byłem taki, jakim mnie widzisz.

— A po ślubie?

— Po jakim ślubie? cha! cha! Pocieszna kobieta! czy ci się śniło o jakim ślubie? myślisz-że doprawdy że ja się z tobą ożenię?

— O Boże! zawołała Izabela i cała we łzach rzuciła się na sofę—Boże, ratuj! cóż to za człowiek!

Karol spójrział tylko na nią, zmarszczył się, plunął i włożywszy ręce w kieszenie, chodzić zaczął po pokoju obojętnie przebąkiwając.

— Rozpacza! jak gdyby to było czego! O! nie bój że się panno Izabello, jesteś dość ładna, znajdziesz jeszcze krocie kochanków, którzy cię może kilka dni dłużej kochać będą

ode mnie, lub kilka dni dłużej zwodzić. Co się tycze mnie, jeśli teraz mam prawdę powiedzieć, więcej pokochałem twoje pieniądze niż ciebie. Jesteś ładna, ale nadto slamazarna, delikatna, łatwowierna, takie dziecko jeszcze: płaczesz pół dnia sama nie wiesz czego. Nie dla mnie takie kobiety, to mi to kochanka, co to czterech razem tego kocha, a umie się pocieszać po jednym, biorąc dwóch na jego miejsce. Omdlała! do miliona djabłów! dziewczyno! dziewczyno! Trzeba dzwonić; szkodaby jej gdyby umarła; zda się komu innemu jeśli nie mnie, a potem kłopot z trupem w domu! Hej! jest tam kto!

Zadzwoił, wbiegła dziewczyna, dawna także pana Karola kochanka, spojrzała na niego i na panię i poleciała do kanapy cucić omdlałą. Karol tym czasem zamysłony wyszedł zapalić cygaro i z dymiącem się już powrócił do sali, po której powolnie zaczął się przechadzać.

Izabella przychodziła powoli do zmysłów, Karol ciągle milczący chodził po pokoju, spoglądał na nią zimno i surowo, a widząc że przytomność powraca, róskażal się oddalić dziewczynie i stanawszy na przeciw niej, rzekł.

— Do kochania moja pani, trzeba się na wszystko przygotować, osobliwie zaś na wszystko złe wypaść mogące. Panna może myślałaś, że ja przysięgając miałem zamiar przysięg dochowac! Ha! ha! to pociesznie. Trzeba się było wcześniej zastanowić, że mężczyzna nigdy miłosnych przysięg nie dochowuje, a gdy to robi, to głupiec. Ja, moja miła, udając miłość ku tobie, miałem wiele do tego powodów! żenić się zaś, nie myślałem, a tém mniej ożeniwszy się żyć. Bo ożenić się z resztą można byłoby, już by to było nie pierwsze takie ożenienie w mojem życiu. Probowalem i tego!—

— O, poczwara! zawołała Izabella w rozpacz. Z jej oczu zaiskrzonych żadna łza nie ciekła, twarz była blada, wzrok obłąkany, usta sine, ręce drżały. Karol chodził ciągle, palił cygaro spokojnie i obojętnie odzywał się po kilka słów, puszczając dymek kłębami.

— Ja byłem dawno przygotowany na te sceny, zawsze się to tak dzieje! Z resztą jeśli ci chodzi o ślub, no to ja się z tobą mogę ożenić, wiedz tylko że to nie pierwsze moje tego rodzaju ożenienie, i że potem mam zawsze zwyczaj pożegnać żonę, uklonić się pięknie i

więcej nie wrócić. Takie ożenienie nie wiele mnie kosztuje. Pieniędzy twoich i brylantów już niema, wczorajszy wieczór zabrał resztę. Wielkie rokosze drogo kosztują, Panno Izabello—przegrałem wszystko w karty. To cię powinno pocieszać, że i twój ojciec, nieraz się jak ja zgrywa. Jeśli chcesz zdrowej rady posłuchać, powróć teraz do niego, on cię przyjmie i o wszystkiem zapomni, bądź pewna. Pojedziecie gdzie do Włoch, do Francij, a tam z tytułem, wdziękami, pieneźdzmi, ulowisz pewnie jakiego osła, któremu się śnić będzie, że jest twoim piérwszym kochankiem. Zapomnisz o mnie łatwo; prędko obeschną lzy, serce się zamknie, jakby nigdy nic nie było w niem; przekłete cygaro! nie ciągnie.

To mówiąc rzucił je w kąt, wyjął drugie i poszedł znowu zapalić. Izabella wstała i chwiejącym się krokiem, pomieszana, wyszła do drugiego pokoju. Wróciwszy już jój nie zastał, siadł na kanapie, rozparł się wygodnie, nogi na krzyż założył i zaczął świstać, pogładając za okno, puszczając dym wielkimi kłębami. Po chwili usnął snem sprawiedliwego.

Panna Izabella wieczorem upadła do nóg ojca, nazaiutrz wyjechali do Rzymu, w rok poszła za margrabiego de Remilly, z którym dotąd żyją bardzo szczęśliwie; co daj Boże wszystkim jej podobnym nawróconym grzesznicom.

IX.

**PANNA HERMENEGILDA
HECIAKOWSKA.**

Człek jest farbą, wychowanie malarzem.
Axioma pedagogów.

W MALEŃKIM pokoiku na Skopówce, siedziała *sobie* panienka. Była ona ładna, ale spójrzawszy na nią zbliska zaraz jakoś poznać było można, że musiała mieć więcej niż dwadzieścia lat. Robiła ona *sobie* spokojnie pończoszkę, i czytała *sobie* romans o *Meluzynie*, wzdychając nad nim szczerze i serdecznie. Koło nięj ulubiony szpic *Amur* leżał na słomą wypchanęj poduszce; dalej w oknie wisiała klatka, a w nięj

kanarków czuła para nosiła wodę wiaderkiem. Przy piecu spoczywał kot czarny Sybirski; w kącie stał na girydoniku odwiecznym serwis fajansowej porcellany, opylony i brudny, w którego filizankach leżały nasiona, suche cytryny i połamane rączki; u pułapu dla większej ozdoby wisiał pajak z opłatków różnofarbnych sklejonny, który się kręcił za każdym poruszeniem powietrza, z niewymownym wdziękiem. Jeszcze dalej w samym kącie stał zegar spowity w drewniane pieluszki z kukawką, a na nim krédą naznaczone były dni tygodnia, surrogat kalendarza bardzo zaspokajający.

Panienka, jakem już mówił, mogła mieć więcej trochę nad lat dwadzieścia, była brunetka, (rzadkie są stare panny blondynki) nosek miała *malupacieńki* (wyraz litewski), usta wysznurowane, jak gdyby lękała się niemi zbyt wiele wciągnąć powietrza, oczy duże, czarne, okropne, zapalczywe, fatalne oczy, o których tyle poezij napisano; nad niemi brwi jak dwa łuki, jeszcze wyżej stał ogromny warkocz włosów, ułożony z wdziękiem i ozdobny różą, która wyglądała z niego, jak gdyby rosła *immediate* z wazonu. Panienka miała na sobie szlafroczek biały, arcy

pięknie haftowany w ząbki z kilkudziesięcią falbanami, przepasany paskiem skórzanym czarnym, spiętym na stalową błyszczącą sprzążkę. Piersi, ta świątynia serca z białego paroskiego marmuru, pokryte były skromnie spłowiałą chusteczką bur de soie, w paski zielone z pąsowem na nóżkach, a nóżki miała maleńkie, cisnęły się do nagniotków dziewiczych trzewiczki pąsowe, niestety, a z zielonemi wstążeczkami. Nie dowodził strój gustu, ale też nie wszystkim wszystko dano.

Na rękę, dla zachowania białości skóry, miała rękawiczki duńskie stare: o stare! okrutnie już stare, z poucinanemi dla ułatwienia roboty pończochy, palców końcami.

Czytała uważnie, powolnie, lży jej nawet czasem szły z oczu, które ona oglądając się starannie w koło, ocierała co najprędzej. Za każdym jej najobojętniejszym poruszeniem, szpic wierny, Amur, warczał, domyślając się, azali czasem nie myśli kto jakiej krzywdy zrobić jego pani.—Taka to była wierność, zmyślność tego dobrze nazwanego Amura. Naprózno warczał i srożył się—nic—cicho było, spokojnie, nikt nie przychodził, panią czytała, czytała

gorąco i serdecznie, tak że w interessowniej-
szych miejscach ustami ruszała. Bodaj to ko-
bięty, one jedne umieją czytać romanse, jak
należy.

Otoż czytała, mówiłem to już razy ze czte-
ry, a pośliniwszy czasem delikatnie końce same
paluszków, odwracała z pośpiechem kartki
książki. Była właśnie w najzabawniejszym
miejscu Meluzyny; jeśli się nie mylę tam,
gdzie to jest coś o kąpieli, na której cały węzeł
romansu;—pożerała wiersze, pożerała, jadła
chciwie aż tu — *stuk, stuk, traf, traf*, ktoś
wchodzi.

Panienska podniosła gniewliwie oczy, był
to mężczyzna, umitygowała się natychmiast
przed bazyliżkiem, zapłonila się tylko po uszy,
po oczy, po za uszy i po za oczy, położyła książkę
i zbliżyła się ku niemu, czekając pytania, go-
tując odpowiedź. Przybyły, młody, blady,
blondyn, słowem pan Karol, skłonił się nisko,
nie całował w rękę (bo był widać nie znajo-
my) i odezwał się w te słowa:

— Czy w osobie pani Dobrodziejki mam
honor witać Pannę Hermenegildę Heciakowskę?

— Da tak jest! abo co?

— Mocno mnie to cieszy; mam honor prezentować się, jestem Lucjan Karol Heciakowski, stryjeczno-cioteczno-wujeczno-rodzony brat Pani Dobrodziejki, a syn ś. p. Florjana Heciakowskiego Stolnika.

— Aha! ha! to to! przypominam sobie! to to jest Stolnika syn! mój Boże! Niechże Pan Dobrodziej siada, da proszę, bez cyremonij. Cicho Amur; da bardzo proszę, jeśli łaska.

— Dowiedziawszy się, że Pani tu mieszka, nie zaniechałem będąc w mieście, złożyć jej mego uszanowania, a razem przypomnieć się pokrewieństwu.

— Bardzo wdzięczna Panu Karolowi; ale dalbógżeż pono, czy nie pierwszy to raz widzimy się, Panie braciszku!

— Tak jest; to szczęście, które —

— Da porzuć te cyremonje, to między krewniaczkami nieprzystawszy jest. Powiedz z łaski swój, co ty tu porabiasz i czém się trudnisz?

— Ja, łaskawa Pani, Siostrze Dobrodziejko, kiedy się tak pozwalasz nazywać, przyjechałem umyślnie prawie do Wilna dla poznania jej i złożenia

— Da fiz; cicho Amur! Jak to zaraz znać wielki świat na Jegomości! cały w komplementach, cha! cha! Ale gdzież zawsze mieszkaś?

— Ja, jestem Adwokatem w Kijewie.

— U Kijowie! da fiz? to będzie od Wilna, bodaj żeby nie piętnaście mil, albo i więcej!

— Trochę więcej!

— Może być, może, miarkuję, choć to ja wszelako tam nie byłam nigdy, bo od dzieciństwa wszystko albo na Żmudzi, albo jak oto teraz w Wilnie przebywam, po śmierci matki mojej, świętej pamięci, wieczne odpocznienie. Wasan Dobrodziej nie znałeś mojej matki świętej pamięci.

— Ja? znałem, owszem, znałem! Była to bardzo słuszna i zacna kobieta, nieco podobna do Pani Dobrodziejki.

— Da fiz! ani troszeniateczki by podobieństwa między nami; ja, wszyscy mówią, do ojca ś. p., wieczne odpocznienie, podobniuteńka!

— Tak! ale, z wzrostu chcę mówić.

— Da już, dalbógżeż, albo żartujesz, albo zapomniawszy jesteś; tać moja mama była mała, a ja gdzie, półtorej głowy wyższa.

— Tak, tak, być może, pomięszalo mi się, zapomniałem — tak to już dawno.

— Da wierzę, że się pomięszalo, choć to i nie tak dawno jak ś. p. matka, wieczne odpocznienie, umarła, bo to dopiero drugi rok skończył się na Ś. Filip.

— A, tak, Pani nie siedzi na wsi? Któż się zajmuje pięknym folwarkiem Heciakowem, Fyrtyszkami i Zieleniszkami, które spadły na Panią Dobrodziejkę?

— Da, to już ja arendą puściwszy, bo to pewniejszy grosz wszelako jakoś, a w mieście msza święta codzien, o każdój godzinie, to ja już sobie przyjechałam do miasta.

— Tak, zapewne, słusznie. W wieku Pani, zabawy, młodzież, teatr.

— Da fi, a to co? czy sfiksował? da ja od młodzieży, by od bazyliuszka uciekam. Ja sobie sama jedna żyję, nikt u mnie prawie nie bywa; a na zabawach, na tyatrach — krew CHRYSTUSA Pana! nigdy nie bywam, bo to zguba duszy.

— Ale przy tak pięknym majątku, może Pani w mieście wygodniejsze życie prowadzić?

— I, już to ja i o to nie stoję. Ja sobie

oszczędnie. Wszelako, by już jakoś dla zabawy i kompanii, trzymam kucharkę, szpica, kota i dwóch kanarków.

— Tak, to czas uprzyjemnia *niewinnie*, przytém literatura zapewne?

— Da, tak sobie czasem przysiędę ono się, ale to rzadko, bo i niéma co czytać. Same, z pozwoleniem teraz, błazenterje drukują. Może Jegomość Pan braciszek herbatyby napił się.

— Jeżeli łaska Pani.

— Da, to dobrze, ja każę wody zagrzać, u momencie powracam — Amur leżeć! Burek, pójdź ino Burek! Takie to rozlazłe kocisko, że cały dzieńby spało pod piecem, a trzebaż na dwór wypuścić dla przewietrzenia.

— O! zapewne warto, dodał Pan Karol tłumiąc uśmiech w sobie.

— W momencie powracam.

Wyszła, a Pan Karol ruszając ramionami przeszedł się po pokoju i zbliżył się do zapyłonego fortepianiku, stojącego w kącie. Właśnie w téj chwili gdy stał przy nim, wróciła Panna Herminenegilda.

— Pani Dobrodziejka, amatorka muzyki, jak widzę. <http://rcin.org.pl>

— At, by godzinę przepędzić, czasami sobie do śpiewu zagram; rzadko w texta światowe się wdaję, a najczęściej śpiewam sobie różaniec lub godzinki.

— Z tak pięknych ustek, jakże miły głoszek wychodzić musi, rzekł Karol sadząc się na pochlebstwa kuzynce: — Czy nie raczysz Pani zaśpiewać, choćby słów parę, proszę bardzo, wielkim jestem amatorem muzyki.

— Da bratuleńku, najchętniej, tylko żeby sobie przypomniała jaki text światowy, bo ty pewnie świętych pieśni nie lubisz.

— Cokolwiek, bylebyś Pani zaśpiewała.

— Da, co umiem, to i będzie. Ekch, kacha! tfu! tfu! hm! zaschło w gardle — hm! zupełnie zaschło.

Dobrze odchrząknawszy, zaśpiewała wreszcie piosnkę czułą i bardzo ładną, której pierwsza strofa kończyła się tym sensem moralnym:

Posiałem nie zżąłem,

Kochałem nie wziąłem.

Posiać nie zżąć,

Kochać nie wziąć!

Panna Hermenegilda śpiewała tę piosnkę z takim uczuciem, że wierny Amur ku końco-

wi trzeciej strofy czekać zaczął, jakby na przestrożę, aby się zbyt uczuciom wygórowanym powodować nie dała.

— Prawdziwie, rzekł Karol, gdy skończyła, i piosnka i muzyka przesłiczne. A głos Pani najdoskonalszy, najpiękniejszy, hm, hm, *contra, contra* — (cóż u licha, nie mam wyrazu) *contra*.

— O! co się tycze piosnki, téj jeszcze nieboszczka babka mojej matki uczyła się od swojego stryja, a ja to z kolei od mamy, świętej pamięci, wieczne odpocznienie. Istotnie piękna i moralna.

— Tak, bo też moralność jest pierwszą pieśni zasadą.

— Da — Otoż i herbata.

Wniosła ją stara kucharka szczególniej chudości, żyjący skielet, długonogi, długoręki, długoszyi, długonosy, a jak się domyślać należało i długojęzyczny; bo doświadczenie uczy, że wielomówność jest w odwrótnym stosunku objętości ciała. Ubiór téj jedynej przyjaciółki i sługi Panny Hermenegildy, był brudny dość, (wyznajem to mimowolnie; lecz *amicus Plato, magis amica veritas*), szyja i ręce po łokcie

obnażone, nogi boso w trzewikach, fartuszek tylko nieco czystszy spadał do kolan, ale i on nosił już ślady pracy, to jest brudu.

— A, a czemuż nie przyniosłaś świeżej bułeczki od Federa? spytała Pani.

— Pani nie jada.

— Da tak, ależ gość?

— Ja pijam czystą herbatę.

— No, to dobrze bratuleńku, bo to wszelako pięć groszy dzień w dzień oszczędzonego, przeszło złoty na tydzień, a blisko sześćdziesiąt na rok! Proszę pić, a czy słodka *arbata*?

— Z rąk Pani, jakżeby nie miała być słodką?

— A! fiz! komplementista! Musiałeś bracie chodzić po Akademii, coś się tych cyremonij nauczyłeś jesteś — ale ze mną bardzo proszę! Może jeszcze cukru, albo żórawinowego soczku?

— Nie, bardzo dziękuję, bardzo i tak dobra.

— Już to że dobra, to pewna; mam ja ją piąty rok tę herbatę, po ś. p. matce, wieczne odpocznienie, tylko od gości używam, sama nie piję, cukier drogi, a miodu czystego trudno dostać, wszystek z mąką mieszany. Da, może na drugą pozwolisz szklaneczkę, z cytry-

ną. Jest to cytryna ta, co na Boże Narodzenie do ryby na kucją — Franuś!

— Nie, nie, bardzo dziękuję, zawołał Karol, na ucziwość nie pijam nigdy drugiej, (kiedy taka paskudna, dodał w duchu). Padam do nóg, dziękuję.

— I sprawiedliwie, bo to wszelako i doktorowie mówią, że ona, z pozwoleniem, piersi osłabia i osusza.

— Tak, to wielka dowiedziona prawda!

— A przytém, bratuleńku, dodała Hermenegilda, to i kieszeń suszy. Gdzież, już idziesz? czego się śpieszysz? czy masz interest z Izbą Skarbową? a i ja miałam z Izbą Skarbową, ale jakoś za łaską Bożą ukończywszy! Da bądźże łaskaw, bywaj u mnie często, na *harbatę* proszę!

— Nie omieszkam.

Wychodząc Karol pękał od śmiechu.

X.

**NAJPEWNIJSZE, DOŚWIADCZONE I
NIEOMYLNE LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ
ZA GROSZY PIĘTNAŚCIE.**

Cóż to miłość? szal ziemski, odlań w formie
ukradzionej z nieba.

Definicja Materjalistów.

— Cicho Amur! cicho! a łotr!— ts! Kto
tam? Tak rano, też osiem nie biwszy u Ś. Ja-
na. Kto tam? czy to ty Franuś?

— To ja. —

— Co to za ja?

— Karol Heciakowski.

— A bratulenku, wszelako tak rano wcho-

dzieć nie przystało do Panny. Przybądź za godzinę, jeszcze się nie ubrała, a jak się ubiorę, to zaraz iść potrzeba na mszę świętą.

— Łaskawa Pani! siostruniu Dobrodziejko! przebacz mnie i pośpiechowi mojemu, idzie tu o los całego życia mojego, odezwał się głos z za drzwi.

— Co! co? o życie chodzi? a! krzyknęła przelękniona Panna Hermenegilda, i pobiegła w jednej spodnicy, zapomniawszy o tém, że była nieubrana, odryglować drzwi.

Karol wpadł niemi obcesowie, jak do szturmem dobytego miasta, a ujrzawszy ją w tak niedbałym stroju, (gdyż z zalem a prawdą wyznać musim, że koszula była do gorsu, a chustki żadnej, bo P. Hermenegilda posłyszawszy, że chodzi o życie, zapomniała się odziać); ujrzawszy ją w tak niedbałym stroju, zczérwiecił się cały, a potem, ni z tego ni z owego, plackiem do nóg.

— A toż co? JEZU CHRYSZTUSIE! zawołała przelękniona Panna zakrywając się rękami jak Venus medycyjska, i wpatrując się ciekawie w klęczącego brata. A toż co? czy ty sfiksował? Amur cicho!

— Pani! już dalej żyć nie mogę! rzekł Karol rozczulony.

— Da cóż to, czy nie goły? może Asana brata okradli; kiedy niemasz z czego żyć, to ja ci parę złotych na karteczkę pożyczę.

— Ach nie, przerwał rozniewany trochę domysłem Karol klęcząc ciągle, — miłość to, miłość, którą pierwszy raz w życiu czuję, do rozpaczny mnie przyprowadza. Rzeknij słowo.

— Da nie jedno, a choć i cztery rzeknę. A ty musi, czy nie we mnie zakochawszy się jesteś?

— Tak jest! Pani siostró! — ratuj mnie póki czas! Oto u nóg twoich miłosierdzia zebraję, składam serce i majątek.

— Da fiż, aż mnie włosy pokołowaciały, bratuleńku! Czy ty już tak prędko rozkochawszy się jesteś we mnie? Aj! jakiz ty fixat! da czy ty możesz aby pomyśleć, żeby ja ciebie tak prędko pokochała?

— Nie mów, zabijasz mnie!

— I porzućżeż. By jeszcze znaliśmy się rok, dwa, nie mówiłam bym, gdyby ty konkurował, to, owo, ale toż tydzień, jak ty mnie poznał?

— A czyż potrzeba więcej, aby cię pokochać?

— Da, to wszystko być może, że ty kochasz, ale co ja to nic. Cicho Amur! Wszelako żeby się nie spóźnić na mszę świętą.

— Pani! bądźże litościwszą, u stóp twoich składam mój majątek cały.

— Dużyż masz majątek?

— Blisko półmiljona.

— I, czy w ziemi?

— Różnie, w ziemi, na niebie i na każdym miejscu.

— A, to to nie małe rzeczy. Ale kuzyneczku, żeby ty mnie i zapisał nawet, to cóż, kiedy nie kochający się, to i pobrawszy się nie będzie jakoś zgody i zawsze jakoś.

— Czyż moje przywiązanie nie potrafi w tobie wzbudzić ani isierki miłości — Hermusiu!

— (Filut, a jak słodko nazywa!) Da chowaj Boże! ani się śniło o miłości. Ale, poczekaj no! Héj! Franciszka! cicho Amur! Daj siemienia kanarkom; a kot czy jadł?

Karol powstał z ziemi upokorzony i rozgniewany oporem, którego może raz pierwszy w życiu doświadczał. Nie zraziło go jednak

pięwsze niepowodzenie, postanowił, przysiągł sobie, pochwycić majątek i oszczędzony kapitał Panny; a teraz podbudzony jeszcze obojętnością Żmudzinki, szedł goręcej i zapalczywiej do celu. Jak skoro kucharka wyszła, on zaczął na nowo.

— Tyś mnie zabiła, rzekł, zabiła! Ja żyć nie mogę bez ciebie, a ty tak obojętnie odpychasz ofiarę serca mojego; ja tego nie przeżyję, ja umrę.

— Da nie! nie! a każ tylko *krwi puścić* sobie na spodek od filizanki, to cię ta fixacja minie.

— Nie pojmujesz Hermusiu!

— Da może być, że ja nie pojmuję tego. Ja nie kochawszy tylko wszystkiego razy z kilka, po prawdzie powiedziałwszy, a i to po cicheńku, po troszeczku. A za każdą razą bywało jak każę *krwi puścić* z lewej ręki od serca, by ręką odjął, zaraz minie.

— Szczęśliwa jesteś, bo ja! — kocham i czuję, że ta miłość pójdzie ze mną do grobu.

— I, ja dalbóg i nie wierzę temu, żeby to ludzie tak się mieli kochać do śmierci, ja, choć młoda, <http://dzikiBog.org> ale nie pojmuję,

że to, jak gadają, stałe kochanie to do śmierci bywa. I fi! czyste brydnie. Czy to ja nie kochałam? i jak! Bywało całą noc to ze dwa razy się budzę, a wszystko śni się mój miły, to raz by z workiem dukatów, drugi raz klęczy u nóg i daje zapis całego majątku!

— Tak, pojmuję ja to, te miłe sny! I ja nieszczęśliwy, od tygodnia jak cię poznałem, co noc marzę o tobie!

— JEZUSIE CHRYSIE! by tylko nie jakie wszeczeństwa, śniły ci się tam o mnie!

— O! nie, najczystsze szczęścia zwodniczego obrazy;— pocałunek!—

— Da zmiłuj się!— tyłkoż co temu, to nie wierzę. Jak ja żyję, to tylko raz wszystkiego Panu Podkomorzycowi dałam gęby, a i to z niewiadomości, bo byłam jeszcze błaźnica, niewinna jak baranek! to nie wiedziałam, że to grzech. A! zmiłuj się bratuniu, nie śnij o mnie takich szkarad.

— A! gdybyż to w mojej mocy, odwrócić ten cios i te wspomnienia od serca!

— Da, kiedy mówię, że w twojej, byle spodek krwi upuścić z lewej ręki, albo i pół-

tora, jeśli krwisty, to przejdzie. Ale ja na-
mszę muszę.

— Chwilę jeszcze, najdroższa Hermusiu! daruj mi pół chwili, zrób przynajmniej choć małą nadzieję, bez niej umrę. Może choć z czasem, powiedz, dasz się pokonać, i zostaniesz moją żoną.

— A! cóżeż bratuniu! jakby to w mojej mocy przyciągnąć miłość k sobie, kiedy ona po ciemku, bo ślepa, nie może trafić do mojego serca. I nie całuj darmo w rękę, a lepiej posłuchaj, *krwi upuść*. Zyd *Cyluryk* i za dwadzieścia groszy puści, a z targiem to i za piętnaście.

— Nie, najdroższa! nie użyję tego środka, może też, z czasem dasz się nakłonić. Komuż lepiej, jak kochającemu cię nad życie, oddać tę rękę, kochającemu cię do grobu.

— O! o! tak to bywało i ja myślałam, kiedy Pan Podkomorzyc dawał cukierki; a teraz, choć to niedawno, będzie z osiem lat, a zapomniało się! I kochałam potem od tego czasu kilka razy. Ale co ciebie, bratuleńku, to dalsz bóg ani weź!

— Co raz <http://nowym.org.pl> ciosem ranisz moje

serce. Chceszże, żebym umarł z tego! wołał Karol, chwyciwszy ją za rękę i usiłując do ust jęj się przybliżyć, aby na nich zawiązać pierwszy węzeł miłości. Panna Hermenegilda poczęła straszliwie krzyczeć.

— A! da fiz! klapsa dam! bratuleńku! Ciśnie się, by kanarek do cukru, do mojej gęby. A fiz! wszetecznik. Jezu Panie! Puszczaj mnie! co Wasan robisz, nie dotykaj się, bo krzyknę. Aj! aj! Franciszka, ratuj!

Wbiegła rezerwa z miotłą, Karol odskoczył daleko od kuzynki; już kucharka z prawdziwie heroiczném poświęceniem się wzniosłszy w górę broń, wspólnie z wiernym Amurem, miała wpaść na zuchwalca, gdy Pani jęj uspokojona nieco, odejść kazała, ufając, że dość będzie na kuzynku skutkować, sama demonstracja gotowości do boju.

— Ot widzisz, Panie Karolu, jak to bezbożnie chceć całować! Fe! pomiarkuj się! Do spowiedzi pójść warto, bo i ja z tęg przyczyny będę musiała. Da, kochać to już ci nikt nie broni, ale tak obcesowo się przysuwać, to nie uchodzi. Ja, bratuniu, jestem cnotliwa Panna. I, kiedy kochasz, to nie tak zapalczy-

wie, by jakie zwierzę, trzeba z respektem wszelako, powoli. E! jabym tobie i dwa spodki krwi puścić kazała na pohamowanie impetu.

— Przebacz siostruniu, nieszczęśliwemu! miłość mnie zaślepiała, odurzyła, miłość zawróciła mi głowę.

— Da! bo też to miłość i ślepa malują na filizankach. To nie—ja się nie gniewam, a tylko na drugi raz będzie nauka, że ze mną tak nie uchodzi. Terazże ruszaj z **BOGIEM**, bo czas na mszę, ja się jeszcze ubierać muszę. Może przyjdiesz na herbatę?

— O bóstwo moje! aniele! królowo! przyjdę! jabym z tobą wieki siedział, droga i najdroższa istoto! I wysypał jeszcze pół tuzina przymiotników najczulszych, które go niewiele pracy kosztowały, bo ich nie bardzo dobięrał.

— Da wierzę, wierzę, nie klnij się. By tylko złe języki tego nie podchwyciły, a nie wzięły ztąd assumptu do szkalowania, bratuniu. Bądź zdrów, do zobaczyska. *Krwi puścić* każ półtora spodka; nie zawadzi—Cicho Amur, cicho!

XI.

FATALNE UMIZGI. PAN PODSEDEK, NAJNIŻSZY SŁUGA.

Karty są zabawą głupich, nie dziw, bo je też dla warjata wynaleziono.

*Słowo gracza nazajutrz po
nieszczęśliwym wieczarze.*

— Ot i Pan *Pucętek* (tak mówiła Panna Hermenegilda), zagramy w marjasza do puli. Bratuleńku! Prezentuję Panu *Pucętkowi* Dobrodziejowi, mojego niby stryjecznego brata Pana Karola Heciakowskiego, który, nawiąsem mówiąc, kocha się we mnie jak fixat. A to Pan *Pucętek* Hippolit Wierzgajło ze Żmudzi. Tam się jeszcze poznali:

— Mam honor, ściskam stopeczki Pańskie, odezwał się gość, figura sucha, długa, z nosem zatabaczonym i czerwonym, gadająca powolnie, nosowy i kłaniający się co chwila. Mam honor, powtórzył, prezentować się, jestem unizonym służeczką, Podśędek Hippolit Wierzgajło ze Żmudzi, do usług jego. Polecam się łaskawym względom i protekcij na przypadek.

— Nawzajem, rzekł Pan Karol, polecam się przyjaźni i pamięci.

— Proszę u mnie bez żadnej cyremonij i bez ambicij; postaw kij Panie Pucętku, czapkę połóż, a daj niuch tobaki. Choć to Pannie nie przystoi, mówią, ale czasem od kataru.

— Tak! Wielmożna Pani! od kataru, najniższy sługa, upadam do nóg, prawdziwa bernardynka. Jeżeli łaska, a Pan Dobrodziej? do usług jego.

— Ja nigdy nie zażywam tabaki!

— Da! bo to widzisz Jegomość taki skonfundowany, że się zakochał we mnie, cha! cha! I ofiaruje mi majątek swój, a ma pół milljona!

— Ps! najniższy sługa! upadam do nóg JW. Pana! do usług! Pan ma pół miljona; a

to ja niezmiernie niższy rywał, pójdę widocznie z kwitkiem.

— Da cóż, żartujesz, porzuć, da fi! Czy to już te pieniądze za serce ciągną? Ot i on naprzykład, to i dobry zdaje się i co. No, a dalbóg, ni razy się nie przyśnił nawet. Tak jakoś téj syncypatij nie ma.

— Tak, o tak, sympatja, poprawił Podsedek, najniższy sługa, sympatja gra rolę wielką w miłości, naczelnika i prawie Jaśnie Wielmożnego i jakoby kawalera wielu orderów. To mówiąc ujrzał pod nogami psa Amur, a jako baczny konkurent, skłonił mu się (bo się kłaniał i kucharce w sieniach), i temi go powitał słowy:

— A Amur! najniższy sługa, upadam do nóg, jak się wać masz?

— Da zdrów! a ty Panie Karolu, czego się tak krzywisz? Amur zdrów, tylko jakoś smutny, musi być na dėszcz czy co, jadł dziś rezedę z okna, to nie darmo.

— Tak, to na dėszcz, pewno na dėszcz, ja to czuję z winném uszanowaniem dla dėszczu, że —

— A, bo i mój Burek do merum ferum się

skradał, to i to może na dęszcz. Czegoż wzdychasz Karolu? Da dalbóg niepojęty człowiek, ani jemu wybić z głowy téj miłości; siadajże Pucetku, co tam słyhać?

— Najniższy sługa, nie Mościa Żdziko; Asindzka nie uważa, że zacny jój kuzyn, coś, niejako, jak gdyby był w złym umorze?

— Mój taki zwykły humor, rzekł Karol kwaśno i dumnie, ledwie mogąc pokryć wewnętrzne nieukontentowanie.

— Zwykły, otoż i niezwykły, odezwała się Panna Hermenegilda z uśmiechem figlarnym i pełnym zaufania w siebie. Jak ja dam rękę do pocałowania to się i rozweseli. No, no, chodź już, chodź, co robić, pocałuj, a rozwesel się!

Na tak czułą odezwę pośpieszył, choć w sercu pękał od złości Karol i ucałował, a raczej poślinił końce podanych mu paluszków, wyglądające zpod brudnej duńskiej rękawiczki, usiłując natychmiast przybrać wesołość, w chęci i nadziei przypodobania się twardej Pannie Hermenegildzie.

— No, cicho, sza, fi! Czy nie zagramy w marjasza do puli, Pucetku?

— By nie drogo, najniższy sługa, upadam do nóg, będę służył Asindźce.

— Da cóż? Na ubóstwo po groszu, albo tak dla zbawienia duszy, to na zdrowaśki, jak chcecie.

— Najniższy sługa. Pani Dobrodziejka jak rozkażesz, posłuszny jestem. Jednak jak najpokorniej ośmielam się uczynić tu uwagę, że dla zbawienia duszy, albo za dusze w czyścisku zostające, a z nikąd ratunku nie mające, lepiejby na zdrowaśki.

— Da! to już jak chcecie!

— Ale ja nigdy nie grywam w marjasza! rzekł Pan Karol zmarszczony.

— No, to cóżeż? To ja z Panem Pucętkiem będę grać, a ty sobie; ja tobie dam drugą talją, tam żołądnego tuza brakuje, Amur go pogryzł, bo był w kaszę padł, a na miejscu jego stara szóstka; to może sobie pociągniesz kabałę?

— Nie umiem żadnej kabały. Ja tak posiedzę, nie znudzę się patrząc na ciebie, siostruniu, dodał ciszej.

— No, no, no, daj no pokój komplemen-

tom. A jeřliby ci się znudziło, to albo sobie pójdiesz, albo może każesz Amurkowi posłużyć, albo popatrzyś na niewinną parę kanarków kochających się czule. No, Panie Pucętku, starsza daje! na zdrowaśki.

XII.

R A D A.



Człek, który myślą przebiegł całą drabinę wyobrażeń, wpada w niedowierzenie o wszystkim, rodzące się ze czczości nieczynnego umysłu i nieczynnego serca. Nie wierzy, bo nie ezuje, nie wierzy, bo nie pojmuje.

Maxyma bezimiennego.

— Gotów już jestem powiesić się z rozpaczą Gustawie! Tego jeszcze nigdy nie było! w życiu mojem nic mi się podobnego nie zdarzyło. Ktoby się był spodziewał? stara kwoka! Ale baba siedzi na dukatach. Ba! gdyby też nie to, gdyby tylko na gołej ziemi siedziała, diabłaby tam za nią pocziwy człowiek chodził!

— Przecież trafiła kosa na kamień, odpo-

wiedział Gustaw, a tyle razy mówiłeś, że ci się żadna kobieta oprzeć nie potrafi.

— Kobieta, rzekł Karol ze śmiechem szyderskim; ale bo ta, doprawdy do płci swojej nie należy, jest to jakiś anormalny wyjątek. Naprózno głowę łamię, czém ją skusić, czém pociągnąć; pochlebiam bez litości i sensu nawet, cóż? kiedy żebym jęj nawet powiedział, że jaśniejsza jest od słońca, weźmie to za rzecz zwyczajną, za to tylko, czego jest godna, co jęj się najsluszniej należy, o czém wie oddawna. W głowę zachodzę z tą niepojętą oziębłości, niesłychanego głupstwa i zardzewiałości kobietą. Ha! tyle już czasu straciwszy, tyle się napracowawszy, bodajem w piekle gorzał, jeśli jęj i jęj dukatów nie pochwycę! Nie darmo głowę na karku noszę. Tego tylko nie pojmuję, jak młode, ładne, bogate dały się uwieść, nakłonić, przekonać, usidlić! a ta stara kwoka jak kamień na wszystko?

— Więc daj jęj pokój Karolu, odpowiedział Gustaw, czyż ci jeszcze niedość tych szarów? czyż —

— A! dość, dość, basta. Morały zawsze są pół do dwunastej, nie chcę ich słuchać,

brzydzą się niemi, są to czcze słowa, nikt sam z nich nie korzysta, a każdy je drugiemu daje. Ot lepiej pomóż mi w tej sprawie. Ty jesteś powolny, tchórzliwy, ociążały, sam przez się nie potrafisz, ale możesz mi być użytecznym pomocnikiem i podporą. Zaprowadzę cię do niej i zaprezentuję, żebyś popierał sprawę moją, wystawując jej mnie, moje bogactwa, stosunki, żebyś jej nakłamał dobrze i swojemi moje kłamstwa podtrzymywał. Nic ci to nie zaszkodzi.

— Ależ uie masz sumienia zdradzać tę bielną kobietę, daj temu pokój, powiadam, ja się w to mieszać nie chcę.

— Słyszałeś go! wyjechał z sumieniem! No, no, bez tych żartów, potrzebuję twojej pomocy, użyczysz mi jej. Głos twego delikatnego sumienia zagłuszy brzęk dukatów, których dość potrzebujesz. A potem, wszystko to dzieciństwo, wszakże jej nie zabijem.

— Jednakże —

— Nakłonisz się, wiem o tém.

— O! pójść do niej, nakłoni mnie sama ciekawość, rzekł Gustaw, ale cóż, jeśli będziesz we mnie miał rywala.

— W tobie? spytał pogardliwie śmiejąc się Karol, trarara! jeśli mną spernuje, nie pochlebiajże sobie, żebyś był szczęśliwszy.

— Zkądże ta zarozumiałość?

— Z doświadczenia, mój drogi. Wiesz jaka jest tajemnicza potęga mojej szkaradnej twarzy i okropnego wzroku, której tyle razy doświadczyłem. Ta, która się opiera mojej władzy, pewnie nie da się pospolitemu człowiekowi poruszyć — jest to zadeterminowany kamień. Ale jeszcze nie ostatnia próba, są nadzieje, Panna Hermenegilda musi mnie pokochać, a ja muszę pochwycić jej fortunę.

— Co za szczególny twój charakter!

— Charakter? powtórzył Karol odwracając się — cóż to ty nazywasz charakterem człowieka? Ja właśnie jestem człowiek bez żadnego charakteru, i tém się chlubię.

— Jest z czego, rzekł Gustaw.

— Ja mogę już się chlubić, mówił dalej Karol, tém, czego innyby się wstydził! bo ja straciłem już wstyd zupełnie, nie pojmuję go. A jednak dobra to rzecz wstyd; z nim można w wielu razach uchodzić za enotliwego. A za-

tém, rzekł po chwilce, będziesz ze mną u Panny Hermenegildy?

— Będę, ale wierz mi, z ciekawości raczej, niż dla pomocy tobie.

— No, dla czego bądźkolwiek. Wierzę, że ciekawy jesteś poznać tę piękność tak srogą, tak twardą. I mnie, gdyby był kto o niej przed dwoma miesiącami mówił, pewnieby znalazł ciekawym i niedowiarkiem. Teraz ja pojmuję ztwardziałość jęj, jako skutek zupełnie zamaryłych uczuć, obojętności i prostego bardzo wychowania, które wszystkie otwory duszy zasklepiło i zalało. Ale różne materiały różnych potrzebują do obrobienia ich narzędzi. Spróbuję inaczej niż przedtém. Jestem już rozdrażniony, biada przeciwnikom! umrę lub zwyciężę! Ty Gustawie innego nie masz przeznaczenia i innéj roli tutaj, nad podtrzymywanie, jakem powiedział, swojemi moich łgarstw o dobrach twego brata na xiężycu.

— Zobaczemy.

— Jedyna łaska, o którą cię proszę. Panna Hermenegilda kocha się bardzo w pieniądzach, trzeba ją umiejętnie zażyć ze słabéj strony. Rozgrzać ją cielesnie ani myśleć, raz w tym

celu chciałem ją pocałować, ale jak nie wrzasnęła. A! niech cię milljony djabłów porwą! Wbiegła stara szkulepa służąca z kijem, pies, kot, wszyscy na mnie razem, myślałem, że mnie tam męczeńska śmierć za grzechy czeka, a przynajmniej kalectwo, ale jakoś za łaską Bożą, wyszedłem na sucho z tarapaty. No — na jutro Gustawie. Daj mi cygaro, moje żadne ciągnąć nie chce. Bodaj piorun kupców i fabrykantów popalił!

XIII.

OSTRZEŻENIE.

Rozmowa dwójga głupich, jest nauką dla
mądrego.

Konsolacja miłujących.

— Czy tu, facećje, mieszka Panna Hecia-
kowska?

— Jaż jestem sama Panna Heciakowska.

— Rad bardzo jestem, że mam honor pre-
zentować się. Jestem Sędzia Dertyło, przyby-
łem tu do Asindźki, Bóc widzi! w bardzo
chwalebnym zamiarze.

— Da już kiedy Sędzia, to ani wątpić, że
w chwalebnym, odpowiedziała Panna. Może,

da czy nie o interesie, eo ja miałam z Izbą Skarbową?

— Ba! Izba Skarbowa! O nie, nie, broń Boże, facećje, ani myśleć. To interes daleko ważniejszy.

— A, to ja dalbóg jnż nie pojmuje o co idzie. Wszelako proszę siadać. Cicho Amur! Pies Jegomości Dobrodzieja nie zna, to naszczekuje, z przeproszeniem, jako na obcego. Niech się Pan nie gniewa. Oczekuję co za interes, bo dalbóg od czasu jak matka moja, świętej pamięci, wieczne odpocznienie, umarła, to ja jeszcze raz tylko miałam interes z Izbą Skarbową. Da proszę Jegomości siadać.

— Upadam do nóg. Nie o Izbę Skarbową tu chodzi — ale o los całego życia Pani.

— A! a! o los życia! i Pan Karol tak mówił, wiem już o co chodzi. Da porzućje Jegomość, kiedy o los życia, to ja wiem interes. Ale dalbógżeż Jegomość już i w wieku, a wszelako myślisz jeszcze o tém, i zakochawszy się jesteś.

— Ba! I zaraz w wieku! A porzućje Asindzka! Gdzież widać ten wiek na mnie, do trzechset facecij! alboż?

— Cha! cha! Zmiłuj się Jegomość! to że już Jegomość zakochawszy się jesteś, to niby i w wiek swój nie wierzysz i czynisz się młodym? cha! cha!

— Gdzież! co? kto Asindźce powiedział, że ja się zakochałem! facecje!

— Kto powiedział? a dalbógżeż, taż Pan Sędzia sam tylko co mówił, że tu o los życia chodzi;— eicho Amur!

— W Imie Ojca i Syna! alboż to znaczy, zem się zakochał? Ja jeszcze od czasu jak żonę —

— Otoż to, że Jegomość chcesz mnie mieć za żonę. To dziwna, że w tych czasach jakoś wszyscy się ze mną chcieliby ożenić, ale kiedyż ja, dalbóg, cheę pozostać w stanie panieńskim, dajcież mi pokój! Kiedy Jegomość w tym interessie przyszedł, jak sam powiedział, to dalbógżeż napróżno.

— Ale! Dajże mi się Asindźka wytłumaczyć!

— Da i owszem, proszę, ale to taki już napróżno wszystko, żeby tylko Jegomość krwi puścił, toby minęło.

— Co? krwi puścić? facecje! Cóż to Pani

mnie ma za warjata! Dalipan z całej rozmowy widzę, że albo ja, albo Asińdzka zająca ma w głowie.

— Może być! może być! zająca jak zająca, ale mnie dawno mówią wszyscy, że mam olój w głowie. Tylko proszę Jegomości nie nazywaj mnie Asińdką, bo nie jestem tego stanu, ale panińskiego jeszcze.

— Ha! cierpliwości braknie! rzekł Sędzia, ale bo też — Dozwólże mi Asińdzka rzec choć słowo — facecje!

— Kiedy Jegomość wszystko o jakichś gada facecjach!

— A! a! mruczał Sędzia pod nosem kręcąc się po krześle. — Bywa tu u Pani jeden człowiek młody? dodał zbierając się na odwagę.

— Bywa! bywa! bratuleńko mój niby stryjeczny Pan Karol Heciakowski. To cóż? to Jegomość może myślisz, że ja już za niego pójdę?

— Otoż, proszę mnie posłuchać choć chwilkę cierpliwie — facecje! Ten młody człowiek, a niby Asińdzki brat, zabił moją żonę.

— JEZU CHRYSZTUSIE! Jegomości żonę! Aj, aj! czy ty tylko nie omylił się? Tak blondynu,

blady bardzo, smagły, włosy długie, gęba szeroka.

— Ten sam, ten sam, facećje! przerwał Sędzia stukając ręką po stole — on to, on, ten lotr, urwis, był przyczyną mojego nieszczęścia, zgonu mojej żony.

— A! fiz! tegom się ja nie spodziewała, miły JEZU CHRYSSTE! Możeż to być? No, no! a ja jego przyjmowała, a ja jego częstowała herbatą, jak co dobrego, a on mnie w rękę całował!

— Jeszcze to nie koniec, rzekł Sędzia, w naszym mieście pozwodził wiele kobiet i porobił nieszczęśliwemi, między innemi na ostatku Hrabiankę Izabellę.

— Słyszała! słyszała! Krew CHRYSSTUSA Pana naszego! Czy to on może być! bezbożnik! A ja to zaraz niby przeczuwała, kiedy zobaczywszy on u mnie Złoty Ołtarzyk Mińskiej *erudycij* w dwóch częściach, z dodatkiem pieśni, to tak go kręcił, tak się uśmiechał, przekrzywiał! A raz, to chciał mnie pocałować w gębę, to ledwie Franciszka moja kucharka, (Pan nie zna mojej kucharki?) obroniła mnie. Wszetecznik! gdyby nie ona, to byłby mnie pewnie zgwałcił.

— I pewno, i pewno, facećje! Bardzoby to być mogło. Ja tedy przyszedłem ostrzedz Panią, ażebyś strzegąc się mogących z tego wynikać ostateczności, więcej tego łotra w dóm swój nie przyjmowała.

— O! pewno! choćby klęczał u nóg, to go Amurkiem poszczuję bezbożnika. Pewnie on to łotr taki, że nie Żmudzin.

— Et! Asińdzka już przesadzasz! toż i ja nie Żmudzin, a poczciwy jestem, mam swoje słabości, znam to do siebie, że lubię czasem kieliszeczek marke —

— Aha! aha! Święty Marek był Żmudzin.

— Facećje! Ja nie mówię o Ś. Marku! mówię o winie markebrüner, którego butelka płaci się od sześciu do dziesięciu złotych.

— A! fiz! bluźnierstwo nazywać tak wino jak święty Pański! fiz!

— I znowu, dalipan ja Asińdzki wcale zrozumieć nie mogę.

— Da być może, bo z przeproszeniem, może tak Jegomość ograniczony, jak to powiadają.

— Co? co? ja, ograniczony? Sędzia! ograniczony? Któż to mógł powiedzieć?

— Da nie obrazajże się Waszmość, aby

czém, nie dąsaj się, kiedy nie, to nie. A to wszyscy mężczyźni tak, fi, dalbóg. No i cóżeż?

— Ja, ograniczony? ja, co zasiadam, co sądzę, co dekreta pierwszy po JW, Prezydencie podpisuję.

— Aha, i dekreta piszecie? JEZU CHRYSSTE! to chyba w Izbie Skarbowej?

— A Asińdźce widać ta Izba Skarbowa w głowie stanęła, że jej ani wybić. Facecje! Ale wracam do rzeczy, niechże się Pani strzeże tego zwodziciela.

— A, wszelako bardzo jestem Jemu wdzięczna za ostrzeżenie, ile, że mogłabym była, czasem niewiedzący o niczém, i zakochać się w nim; a tak na Jegomościene słowo będę jak od ognia uciekać.

— Bo, pozwolisz, mówił dalej Sędzia, pozwolisz Asińdźka wystawić sobie.

— Otoż masz! sfixował czy co? Proszę mi tego nie gadać, bo dalbóg ucieknę.

— No to już ja sam pójdę lepiej, rzekł Sędzia czerwony od téj rozmowy, bo widzę, że nie dójde tu ładu. Proszę pamiętać na ostrzeżenie moje i bądź Pani zdrowa.

— Do nóg upadam; cicho Amur! wdzięczna

Jegomości. Po wschodach niech Jegomość w tym wieku ostrożnie schodzi.

Sędzia już był za drzwiami, ale posłyszawszy wspomnienie o wieku, obrócił się i zawołał:

— Hm! w wieku! Co Asińdźce ten wiek w głowie? facećje! Ja w wieku? Zacząłem dopiero trzydziesty dziewiąty, patrz tylko Asińdźka, głowa, nogi! o! trzydziesty dziewiąty, jak Bóg miły! Pokazałbym metryki, ale się te —

— Nie fatyguj się Jegomość, upadam do nóg — cicho Amur!

— Ale czekajże Asińdźka! w wieku! w wieku! facećje! zamknęła mi drzwi przed nosem! w wieku! co oni sobie myślą? Ja w wieku! Pójdę no do traktjeru, pewnie tam Pan Józef czeka na buteleczkę markebrüner; ale i on zawsze mi mówi te w wieku. Co to jest?—Aha! trzeba nowój peruki!

XIV.

NOWINY ZE ŻMUDZI.

Niema miłości nad tę, którą czujem do przedmiotów, łączących się jakimkolwiek węzłem z przeszłym naszym szczęściem.

Rozumowanie suksesorów, dzielących się ruchomościami.

— A kto tam.

— To ja.

— Aha! to ty? a fiż! to ty? a nie pójdziesz precz ode mnie huzbożniku! Wiem już ja o wszystkich twoich sprawkach. Ruszaj z Bogiem, chciałeś mnie uwieść, wszeteczniku! Nic pokazuj się więcej, nogą u mnie nie postać, bo wybić każę, poszczuję, ze wschodów zrzucę.

— Cóż to jest? siostruniu, co to ci się stało? odezwał się głos z za drzwi.

— Porzuć, porzuć udawać zwodzicielu! Taż to ty zabiłeś żonę pana Sędziego i zrobiłeś awanturę z Hrabianką. A nie pójdiesz ty precz! Jezu Chryste! Dam znać zaraz do Izby Skarbowej, to cię wezmą i w dybki okują.

— Ale na honor siostruniu, tego przyjęcia nie pojmuję.

A! a! nie pojmuję! Oho! nie głupiam! nie puszcze cię tu więcej! noga tu twoja nie powstanie! Idź precz! idź przecz!

— Widać że chyba przez zazdrość ktoś siostruni na mnie nagadał.

— Przez zazdrość! co za chwilit! byleby jaki wykręt znalazł, a na moją niewinność pastkę stawi.

— Ależ siostró! nie przywódź mnie bez przyczyny do rozpacz.

— Bez przyczyny! kiedy mówię że był u mnie pan Sędzia i nagadał mnie żebym się ostrzegąła Wasana. Ruszaj precz, ruszaj!

— Był tu Sędzia! cha! cha! zawołał głos z za drzwi — Sędzia ten, to oszust pani siostró.

— Da, czy ty mnie masz za taką głupią,

żebym ja uwierzyła że Sędzia może być oszustem.

— Ależ siostruniu, ten Sędzia, to nie Sędzia! On się gniewa na mnie i tylko przez złość tak do mnie, przez zazdrość. Puść mnie proszę, to się ze wszystkiego wytłumaczę.

— A broń Boże! da nie puszcze! tłumacz się kiedy chcesz przeze drzwi! Jezu Chryste! nie wpuszcze za nie!

— Ten pan Sędzia, mówił Karol, zły jest na mnie, że ja odkryłem i okazałem kilka jego oszustw, a teraz wszędzie chodzi, nagadując na mnie niestworzone rzeczy i wymyślając dziwne awantury.

— O! ho! nie wierzę!

— Ale na honor jak mi Bóg miły, to on sam, gdzieś siostrunię zobaczył, zakochał się, chce się żenić i dla tego mnie interessa psuje.

— Aha! da! da! także gadaj! to to może być! A ja zaraz postrzegłszy bratuniu, że to tak! kiedy tak to chodźżeż.— Albo nie (zatrzymała się otwierając drzwi) poczekaj, a nie ty to uwiodłeś Hrabiankę Izabellę.

— Ja? ja nie znam żadnej na świecie Hrabianki.

— Da, kiedy tak, to chodźżeż! To mówiąc otworzyła drzwi i wszedł po długiej kwarantannie Karol, a za nim Gustaw.

Panna Hermenegilda w rannym jeszcze stroju, bo tylko co wracała ze mszy, spójrzała zaraz ciekawie na drugiego przybywającego i spytała.

— A tożżę kto?

— To mój brat!

— A! proszęż siadać! Cicho Amur! Tylko że to może nie przystoi, jak u nas na Żmudzi mówią, żeby panna sama, znajdowała się z dwoma mężczyznami, i niebezpiecznie jakoś. Franciszko! Franciszko! Niechaj dla wszystkiego postoi koło drzwi, bez obrazy!

— A Jegomość pan brat drugi, dodała po chwili, dalibóg jakoś ładniejszy, ochapia się na pana Podkomorzycę z twarzy! Czy Jegomość mieszka tu w Wilnie?

— Nie ciągle, rzekł Gustaw prędko, korzystając z dobrych skłonności kuzynki, teraz właśnie jadę ze Żmudzi.

— Ot, chwałaż Bogu, to przynajmniej mi powie co tam słyhać. Czy też panna Małgorzata Wiertelis wyszła za mąż? Znikuj się po-

wiedz! wielka to była moja przyjaciółka, bywało zawsze razem chodzili kąpać się, a wodą na siebie pluskali!

— Poszła, odpowiedział Gustaw, który śmiało klamać postanowił, z rozmowy zmiarkowawszy łatwowierność i głupstwo panny Hermenegildy — poszła za blizkiego kuzyna Króla Szwedzkiego.

— Oto! musiał być bogaty, dalibóg, i pewno jój całą fortunę zapisał, a bardzo był bogaty?

— Niezmiernie! tak jak mój brat; zapisał jój wszystko co miał, i więcej nawet niż miał.

— A fi! ot to szczęśliwa! I ona jego miłością kochała?

— Tak kochała, rzekł Gustaw, że słyszę, kiedy szli do ślubu, to płakała gorzkiemi łzami.

— Płakała! mój ty miły Boże! Da! już to tak zwyczajnie, panny wszystkie, po utracie niby stanu panińskiego i niewinności. To i ś. p. wieczne odpocznienie prababka wuja mojej matki, to mówią, że — Ale, ale, a panna Narcyssia Żmigajłowiczówna?

— Także poszła za kuzyna Papięza nieboszczyka.

— Dalibóg! Oto, nie spodziewawszy się żeby takie partje porobiły. A czy to był Xiądz? Panie Karolu, nie krzyw się tak że ja pytam. A to brat Jegomości, to z miłości tak się krzywi. Czy to był Xiądz?

— Był to Biskup.

— Jezu Panie! to tam teraz na Żmudzi się żenia! Osobliwość! Ot to szczęśliwa! codzień msza!

— Tak i śpiewana!

— Tać i z suplikacjami mieć może. — A, a panna Teodora, Stypułkowiczówna.

— Ta umarła! rzekł Gustaw.

— Ach! otoż tobie masz. A taka zdaje się była zdrowa! Otoż to *ludzkość i człowieczeństwo* jak mówił Xiądz Jegomość z ambony w popielec u Bernardynów, próżno, by i najzdrowszy to musi umrzeć, a i krwi puszczenie nie pomoże.

— O tak! rzekł Gustaw wzdychając.

— Siadajże bliżej proszę, a jak bratu imię?

— Gustaw.

— Da dalibóg ja zaraz z twarzy poznałam, że Jegomość ze Żmudzi, bo kto ze Żmudzi, to zaraz inaczej wygląda, by ładniejszy, by rozu-

mniejszy, nie przymierzając. Da! może jeszcze ranniej nie piliście herbaty? Jeszcze ledwie dziewięć biwszy. Może pan Gustaw.

— Nie, ja piłem, bardzo dziękuję.

— To i dobrze, bo i drobnych wszelako nie mam na bułki, a jak rubla rozmienisz całkowego, to się zaraz rozejdzie. No, i cóżeż więcej na Żmudzi słyhać? Po czemu tam cukier?

— Pud?

— Nie, funt! a któż pudem kupuje?

— Funt, po czterdzieści dziewięć groszy.

— Dalbóg tańszy jak w Wilnie. Przekłete miasto, to tak drą kupcy, że aż strach.

— O drą, bo z tego żyją.

— A! tać to i ta blazeńska siemienia kwarta, eo ja dla kanarków kupuję, to kosztuje czasem i piętnaście groszy i złoty i drożej jeszcze, jak karystja na siemię.

— Zapewne, że utrzymanie kanarków drogo panią kosztuje.

— Da, przysuńże się bliżej kuzynku, powiedz jeszcze by słówko o Żmudzi, to dalbóg lechce, po sercu *kozyta*, jak posłyszysz!

XV.

CO TO MOŻE KOCHANIE.

Czegoż nie zrobi kobieta kiedy kocha,
mężczyzna gdy pożąda!

Wykrzyknik starego kawalera.

— Da fiż! da fiż! dalbóg krzyknę! da porzuć ze Gustawie. Jezu Chrystusie! Na nogę, na nagniotek nadeptał! Da porzuć! fiż! da odstąpię się proszę! A niechajże Wasana!

Gustaw, który wzorem brata natrętnym szturmem do ust panny Hermenegildy, takie wykrzykniki wyciskał, odstąpił powoli i zadumany podparł się na stoliku, spuścił oczy nie śmiało, mówiąc:

— Więc mnie nie kochasz, Hermusiu?

— Da, kiedy już raz mówiłam że kocham, to kocham miłością, ale to całowanie to dalibóg może i grzech, zwłaszcza przed ślubem, przed zaręczynami.

— A! siostruniu, czyż katechizm zabrania całować się? Owszem, sama religja nakazuje miłość, a miłość nakazuje całować się.

— To tak! powiedziała panna zdziwiona argumentem, to tak! A kiedy tak to co inszego, bo ja o tém nie wiedziałam. Nu, nu! to pocałuj, ale wszelako nie przybliżaj się bardzo, bo to pamiętaj przed ślubem, przed zaręczynami.

Ognisty pocałunek za wspólną zgodą stron obu, połączył usta panny Hermenegildy i Gustawa uszczęśliwionego swojej dialektyki tryumfem. Westchnęli oboje.

— Da fiż! porzućmy te wzdychanie! Już ja dalbóg żeś kiedy mówiłam że kocham to kocham prawdziwie! I nie turbuj się, bo pójdę za ciebie.

— Ale, zmituj ze się moja droga, przyspiesz tę chwilę szczęścia, nie uwierzysz jak przykro jest czekać.

— Da, ja to wiem i bardzo! Nieraz u Bernardynów póki xiądz wyjdzie ze mszą świętą, to tak czekając, Boże odpuść, ale to na twoją chwałę, aż trochę złości biorą.

— Otoż, kiedy tak czujesz jak ciężkie jest oczekiwanie, przyspiesz droga Hermusiu, chwilę ślubu.

— Nu, dobrze! niechaj tak! A kto da na zapowiedzi, czy ty, czy ja? — Może ty mój lubeńku?

— Ja, nie dam, bo niémam ani grosza!

— Otoż to jedna bięda nasza, że ty голу-
teńki, mój drogi, a to nie wiem jak tu i pójść
za ciebie, kiedy ty taki goły. Z czego my
będziemy żyli? Mąż, potrzeba żeby miał
fortunę.

— A i ja też będę miał, teraz tylko nié-
mam, ale pewnie mieć będę i wielką, odpo-
wiedział z przekonaniem Gustaw. Naprzód, po
stryju, który ma prawda dwóch synów, ale
bardzo słabego zdrowia, jak ci dwaj synowie
umrą, co niezawodnie nastąpi, spada na mnie
fortuna znaczna.

— Jakże wielka?

— Kilka milionów.

— Milljonów! JEZU CHRYSSTE! to ty będziesz bogaty jak jaki Król.

— Zapewne. Przytem wiem o jednym skarbie w Białowieżskiej zakopanym puszczy, gdy dójdę tylko miejsce, wezmę tam jeszcze więcej jak po stryju!

— A, ba! to byś za to całe Wilno kupił!

— I więcej może.

— JEZU! JEZU! to ty bogaty!

— Oczewiście!

— No, to dajże na zapowiedzi.

— A, ale kiedy teraz niémam ani grosza!

— Otoż to sęk! to tak wydaje się jakby ty był goły! No! no! ale co się przewlecze, nie uciecze, potrzeba tylko żeby ty zapisał miie cały swój majątek, osobliwie ten, co to w puszczy.

— Najchętniej, zapiszę cały.

— To taki zwyczaj! a ja tobie dożywocie zrobię!

— Bardzo dobrze! Tym czasem tylko na oporządzenie się potrzeba mi pieniędzy.

— Pożyczyć?

— Tak jest.

— No, no, to ja pożyczę. Ale na jaki to

procent? bo to w Żmudzi kiedy tak pożyczają to na dziesiąty, ale jak tobie, że to niby mężowi, niechaj będzie na siódmy?

— Nie sprawiedliwszego.

— A wiele tobie potrzeba?

— Dukatów ze trzysta!

— Co! co! tak wiele! a cóż ty z niemi zrobisz?

— Naprzód, kocz, konie —

— Da, fiz, ani się waż! Ja tego nie chcę żeby my koczem jeździli, czy to my Marszałkowie, czy to my Hrabiowie! Ehę! kałamaszczką!

— No, jak chcesz, ale same moje potrzeby! zostałem ze wszystkiego okradziony nie dawno, wszystkiego potrzebuję.

— Da cóż, surdut i frak kupić na tancie?

— A! niepodobna! To jest zwyczajem na Żmudzi, że żeniąc się nic starego nie można, nic a nic, wszystko powinno być nowe, inaczej szczęście się nie będzie. Tak tedy miarkujesz moja droga, że od stop do głów oporzędzić się, wiele kosztuje. Mianowicie, że nasze męskie suknie bardzo są drogie!

— Drogie? he?

A! niesłychanie! trzysta dukatów wyjdzie łatwo na oporządzenie uczciwe.

— Na cóż uczciwe?

— Taki zwyczaj na Zmujdzi!

— Da, kiedy zwyczaj na Zmujdzi, to co innego! A no, bratuniu napijemy się herbaty. żeby kto nie nadszedł potem. Ja tobie z kochania, to zobaczysz jakiej dam słodkiej, by ulop. Franciszko!

— A co pani?

— Zrób no herbaty i przynos. A jak tamten brat przyjdzie, ten blondyn co to wiesz, co to mnie chciał całować, to powiedź mu że ja spię, chora jestem, że mówię pacierze, a nie wpuszczaj.

— Nu, nu dobrze!

— Otoż dzięki Bocu, to my już by dwa gołabki zostali się sobie we dwojeczku. A ja z kochania, to każę i bułki przynieść świeżej, czy dobrze rybenieczko?

— I owszem,

— Albo może sucharków? co?

— Jak chcesz.

— Da! już ja wole bułki, bo tańsze i więcej

się najesz, ale kiedy ty chcesz to ja tobie każe i sucharków przynieść!

— Nie, dla mnie to wszystko jedno.

— Franciszko! przynieść od Federa świeżych dwie bułek za pięć groszy—

— No czegoż ty tak mocno zamysliwszy się? Czy ty się turbujesz? A kiedy ja Kocham, to nie turbuj się, bo kiedy nie Kochała Karola, to jemu taki z góry powiedziała, a Ciebie kiedy pokochała miłością, to pokochała. Ty mnie bywało i snił się co noc, a wszystko idzie, a w rękę trzyma, worek z dukatami. Żeby ty się był nie oświadczył na ożenienie, to by ja była kazała sobie krwi puścić, tak Kochała. Taż to i jeść mnie się czasem nie chciało i siadała i dumiała, a wszystko o tobie. Teraz że już, aby prędzej do ślubu.

— I ja radłbym prędzej, choć dziś.

— Da, już bez zapowiedzi niemożna, a i ja taki każe sobie wyprać białą suknię z falbonami.

— Tać to i łóżka trzeba podobno podwójne, bo razem będziemy spali.

— Naturalnie, Hermusiu.

— To ty u mnie i ze mną będziesz mieszkać?

— Zawsze! <http://rcin.org.pl>

Chwila milczenia.

— Jednakże, rzekł Gustaw, jeśli tu Karol będzie, choćby się pytał, nie mów nic o tém, co między nami zaszło i żeśmy sobie słowo dali.

— O! zapewne! ani słowa, Boże broń! On taki zakochany, to jakby się dowiedział, że my już po przyrzeczeniu, toby awantury dokazywał; już jemu chyba po ślubie powiemy.

— Po ślubie, moja Hermusiu! rzekł Gustaw całując ją znowu! po ślubie! o jak mile to brzmi w uszach moich, jakże będę szczęśliwy, kiedy—

— No! no! sza! żadnych wszetecznych obrazów! Boże broń! Co będzie to będzie, a teraz ja panna! Cicho! Pamiętaj że o zapisie całej fortuny, téj co to w puszczy,

XVI.

ŚLUB I CO BYŁO PO ŚLUBIE.

Z zbytniego przywiązania, rodzi się zbyteczna nicnawieść.

Axioma poróżnionych.

W KOŚCIELE xięży Missionarzy pod późną porę, bo blisko dziewiątej wieczornej, zapalano światła, organista siadł do organów, niecierpliwie oczekując chwili, w której będzie mógł palce swoje puścić w pogoń za uciekającą od nich uporczywie muzyką i beknąć *Veni creator*; rozesłano kobierzec u wielkiego ołtarza — były to przygotowania nie wątpliwe do ślubu. Nawet zakrystjan był w nowiej kapocie, a przed

drzwiami zakrystij widać było xiędza w komży i stule, czekającego, wyglądającego, przyjazdu państwa młodych. Wtém, na zégarze wieżowym wybiła dziewiąta, organista zakaszłał, xiądz zaczął się przechodzić pomrukując i poprawując biretu, zakrystjan poucierał świece — nikogo nie było jeszcze.

Xiądz dobył tabakierki i zażył tabaki, następnie poczęstował nią zakrystjana, który ukłonił się tak nisko, że mu aż w grzbiecie coś pękło; w téj właśnie chwili zahuczały pojazdy, we drzwiach szmer dał się słyszeć, organista wychylił głowę z choru, xiądz z zakrystij, patrząc — Środkiem ciemnego kościoła postępuje postać w bieli z wieńcem na głowie, oczywiście panna młoda; przy niej dwie družki, dalej w białej kamizelce i granatowym fraku, z bukiecikiem pan młody, a przy nim kilku mężczyzn. Państwo młodzi pomodliwszy się trochę, postąpili do ołtarza, huknął z choru *Veni Creator* aż się okna trzęsły, nastąpiła przemowa pełna figur krasomówskich, związanie stulą, zamiana pierścieni, panna Hermenegilda wyrzekła fatalne — *da tak!* mąż równie; pomodlili się znowu, zapłacili, siedli i poje-

chali, połączeni na zawsze. Z nimi były dwie stare panny družki, pan Podsedek Wierzgajło i Ferdynand Klapucewicz, drugi bardzo zacny obywatel, niegdyś zamieszkały w Pińszczyźnie, a potem na Żmujdzi.

Panna Hermenegilda, przejęta zapewne ważnością odbytego obrzędu, milcząca była i wzdychała, według wszelkiego podobieństwa, nad zbliżającą się utratą stanu panińskiego.

Gustaw przeciwnie był wesół, jak to mówią, jak gdyby go kto na sto koni wsadził. Smiał się, żartował, sciskał ukradkiem rękę swjej żony, kazał konie popędzać i tak dojechali szczęśliwie na Skopówkę, gdzie znaleźli pokoje oświecone, a jeden nawet przynajęty. Wielkie tu zaszły odmiany, znikła stara poduszka faworyta Amurka, kanarki przeniosły się do kuchni, kot niemający już prawa wchodzić, miauczał pode drzwiami. Fortepianik wystrojony stał otworem, kwiatów na jakie tylko jesień zdobyć się może, pełno było wszędzie, to jest, rozmarynu emblematycznego, jerańjum, hortensij, karolinek i t. p. osobliwości.

Jak tylko z kościoła państwo młodzi wrócili, podano herbatę, a do niej cukru aż dwie

cukierniczki i to nie czarnego, ale kandysbrotu a sucharków lukrowanych z migdałami i ciastek cały półmisek! Kucharka, która roznosiła przysmaki, tego dnia ubrana była czysto, umyta i naróżowana, co ją niezmiernie martwiło, bo musiała uważnie chodzić koło wszystkiego, aby się nie powalać, a tyle miała na głowie.

Po herbacie, usiadł pan Podsędek z panną młodą i panem Ferdynandem (którego mimo pięćdziesięciu kilku lat nazywano Ferdusiem) grać w marjasza do puli. Panu młodemu pozostało myśleć o cukrowej kollacji. Dwie panny družki biało strojne, a stare i brzydkie, wydające się jak smiecie na porcellanowym talerzu, już to przypatrywały się grającym, już bawiły się z Amurkiem, już brzdąkały o ile umiejętność dozwalała na fortepianiku, przez wszystkie jego pół piątą oktawy.

Właśnie pani czy panna młoda (rzecz jest nierozwiązana jak nazywać należy w takim zdarzeniu) miała dawać panu Podsędkowi suchę, gdy osobliwszy hałas jakiś dał się słyszeć na wesełach. Wśród panującej tam wrzawy, słychać było głos stariej Franciszki, ryczący jak piorun wśród burzy. Zawieszono grę, wszyscy

nastawili uszu, drzwi się otwały, ukazała się Franciszka zagrządzająca rękoma wejście komuś przybywającemu i wołająca piskliwie.

— Nie puszcze! nie puszcze! Pani nie ka-
zała! nie puszcze!

Amur ocucony tym hałasem, a w złym hu-
morze, z powodu wywłaszczenia z ulubionej
poduszki, porwał się natychmiast szczekać, a
nawet i kąsać już gotów.

Któs z sieni się odezwał.

— Stara skutnico! puszczej, bo ci palką
łeb rozwałę! jak mi smiesz wejścia bronić?

Panna czy pani młoda zbladła, był to zna-
ny jej głos Karola: prędko jednak przycho-
dząc do przytomności, zawołała zbierając karty
do ręki.

— Puszczej—da puszczejże Franciszko!

— Chyba tak! mruknęła sługa, odeszła
ode drzwi na bok, a pan Karol wbiegł do po-
koju. Spójrział po pokoju, po gościach, na
wieniec panny Hermenegildy, zdziwił się i
osłupiał.

— No, no, czegoż tak stanęłaś jak kół bra-
tuleńku, ozwała się pani młoda, da cóż, ot
wiesz, poszłam za mąż—

— Za mąż! zawołał Karol. A wtém ujrzał wychodzącego z drugiego pokoju Gustawa z uśmiechem ironicznym na ustach i znaczącym bukiecikiem przy fraku.

— A to zapewne pan młody? spytał wskazując palcem na brata.

— A tak! a widzisz, pan młody. Nu, nu, nie wytrzeszczajże tak oczów ze złości, fi! dalbóg, by jaka poczwara! porzuć, może się herbaty napijesz?

— O! bardzo ci za nią dziękuję, rzekł Karol zgrzytając zębami i zapalczywie patrząc na Gustawa. Teraz już mogę skwitować z twojej herbaty. Czy nie dość że, że ją piłem za moje grzechy, starając się o twoją wyschlą rękę, stary czupiradle?

— Aj! Chryste panie! krzyknęła pani młoda. Karty wypadły jej z rąk i — omdlała —

Wszyscy skoczyli ją ratować. Karol tym czasem rzucił się na kanapę, a Podśedek w patrując się w karty rozsypane po podłodze, zawołał nie zważając na omdlenie i wypadek cały.

— Przegrałem! miała panfila!

Omdlenie było tak doskonałe, że dwie stare panny, dwie karafki wody, dwa kieliszki octu,

i dwie szczypty tabaki, nic z początku nie pomogły. Pan młody dopomagał bardzo przykładnie a Podśędek sądząc że wiadomość ta przyczyni się do otrzeźwienia, wołał co chwila, trącając w bok omdlającą.

— Jejmość, jejmość, najniższy sługa, upadam do nóg! dostałem suchę, pani wygrała! nie mdléj Asińdzka!

Wreście przyszła do siebie, i rzucając wzrok na śmiejącego się szydęrsko Karola, zawołała:

— A! uwolnijciez mnie proszę od tego fixata, grubjanina, wypchnijcie go za drzwi! Wszyscy Święci i aniołowie, on tu przyszedł, żeby mnie łajał i obrażał! Panie mężu, panie Gustawie, choć to brat, ale dalbóg, żeby tu jego nie postala—Za kark, precz, bo drugi raz struchleję!

— Karolu, odezwał się Gustaw podchodząc wreście ku niemu, znam nieczulość twoją, znam jak jesteś na wszystko obojętny, jak cię mało cudza przykrość obchodzi, i niewiele kosztuje wyrządzenie krzywdy; ale przypomnij sobie, żem twój brat, a to moja żona. Przez wzgląd na to, jeśli ci gniew twój nie dozwala

się utrzymać w granicach przyzwoitości, oddal się. To mój dom jest, mam prawo w nim rozkazywać.

— A! pompatycznie bratuniu, zagadnąłeś mnie! zawołał Karol. Kiedy ja ciebie nie raz zdychającego z głodu żywiłem ostatkami, dzieliłem się z tobą od gęby, ty mi teraz, jak jakiemu łazarzowi dom wypowiadasz! Ty mi radzisz pójść precz ztąd! Ha! radbym bardzo wiedzieć kto mnie ztąd wyprowadzi, jeśli wyjść nie zechcę?

— Da ja! ja sama, ty trupie przemierzły! ja panna, (nie nie panna, ale Hermenegilda)! ja za czub cię wyprowadzę, włosy ci wydrę z głowy, poszczuję psem, każe ci wiadro pomyjów wylać na głowę, jeśli nie pójdziesz precz.

— Powoli, powoli droga pani, przerwał Karol obojętnie wyjmując z kieszeni i śliniąc cygaro — gniew piękności szkodzi. Zaczny mój pan braciszek postąpił sobie wcale nie po bratersku a co miał mnie dopomódz, to sobie dopomógł; bardzo dobrze! No, bracie, gdy to cygaro wypalę, będziemy się strzelać, tu w pokoju!

— Najchętniej, choć zaraz, odpowiedział zimno Gustaw.

— Ach! Jezu Chryste! Święty Janie Nepomucenie! Święty Wincenty! ratujcież mnie! Bezbożnik, zbójca, chce mi męża zabić! dam znać do Izby Skarbowej, okują cię w łańcużki! wołała panna Hermenegilda. — Da ty, mężu, ani waż się, on zabić może, on już tak Panu Sędziemu zabił żonę. Ratujcie, ratujcie! panie Podsędku biegaj na miłość Boga, daj znać do Izby Skarbowej, niechaj go wezmą.

— Najniższy sługa, odparł Podsędek biorąc z kąta kij i czapkę powolnie, upadam do nóg!

— Ale ten pan ma półmilion! pół miliona!

— Da, żeby miał i sto milionów, to takiego lotra powiesić. Tylko co jeszcze po ślubie, on mi już chce męża zabić; ja jeszcze nie mężatka prawie a on mnie chce wdową zrobić. Ratuj panie podsędku biegaj! drążki weź, ja zapłacę, tylko targuj się! no! no! A ty uciekaj, kiedy tobie życie miłe.

— Widać że nie bardzo miłe, odparł śmiejąc się Karol, kiedy tak spokojnie siedzę. Panie Podsędku nie bądź osłem i nie ruszaj się z tą

— Osłem? najniższy sługa! upadam do nóg, rzekł obrażony Podsędek, czy to pan jesteś Radcą stanu i Kawalerem orderów, że mnie śmiész osłem nazywać?

— Nie bredź, stary gryzipiórka, postaw kij, siedź i ani krokiem się nie ruszaj, bo mam przy sobie pistolety i jeśli ci w łeb nie wypalę, to nogi pewnie poprzestrzelam, byleś się ruszył do drzwi. Ty zaś panie bracie naciesz się z żoną, bo na honor, może i nie długo już cieszyć się nią będziesz. No! uściśnijcież się proszę, niech no ja waszą zaślinioną czułość osobiście zobaczę! cha! cha!

— Da dalbóg już duszy we mnie niestało! kiedy wasan panie Podsędku nie idziesz, to ja sama polecę i męża z sobą wezmę, żeby mu tu co nie zrobił. Chodź, pójdziem na skargę! Jezu Chryste! niechże wezmą do turmy tego zbójcę!

— Cichoż! wrzasnął Karol. Bardzo proszę siedź wasani na miejscu, bo ja nie robię różnicy między mężczyzną a starą jak ty babą, tak tobie jak jemu po nogach wystrzelę, byleście się ztąd ruszyli.

— A! a! I pani młoda omdlała znowu.

Gustaw blady, zgrzytając zębami od gniewu, pobiegł ją ratować, rzucając okropny wzrok na brata.—On zaś palił cygaro spokojnie i dopiero skończywszy je, splunawszy, rzucał w kął niedogarek, zdeptał nogą i odezwał się w te słowa, kładnąc parę pistoletów na stole.

—No! ocuć się Hermusiu i posłuchaj.

—A! a! krzyknęła przychodząc do przytomności pani młoda, wypchnijcie go, wypchnijcie, nie wytrzymam. Chce mi męża zabić! Chodź mężulku! chodź do mnie! jeśli ten niebożnik myśli cię zabić, niech do nas razem strzela, ja ciebie nie puszcę!

—A! na honor, to heroicznie! poświęcenia takiego w kobiecie nigdy jeszcze nie widziałem. Bardzo pięknie: bardzo przykładowo, warto wydrukować: zawołał Karol polegając od śmiechu. Jeśli już tak go kochasz, przebaczam wiarołomnemu bratu, jedynie dla tego, że widzę iż się w nim ta stara baba zakochała do szaleństwa, jak gdyby nigdy nic lepszego nie widziała!

—Stara baba! ach, cóż to za język piekielny! dwudziesty pierwszy rok!

— Cicho! cicho! metryki nie jestem ciekawy, twarz ją pokazuje. Oto mój warunek; nie chcesz Wasani abym się strzelał z Gustawem? dasz mi sto dukatów. Tylko sto; proszę zważyć, że niewiele żądam, a jak się strzelam i fechtuję, mój brat wie najlepiej.

— Da, żebyś ty niedoczekaleś, żebym ja tobie dała sto dukatów przeklętniku, rozbójniku! Da fi! dalbóg grosza nie dam. Sto dukatów, da to blisko trzysta rubli, blisko dwa tysiące! Jezu Chryste!

— No, jeśli wasani więcej cenisz sto dukatów niż swego najukochańszego Gustawa, to dobrze — będziemy się strzelać, tu zaraz. Jeżeli zaś go ubiję, najuroczyściej przyrzekam ożenić się z waćpanią na jakich dni kilka.

— A! a! żeby ty moje pięty lizał, żeby na całej ziemi nie było drugiego kawalera, żeby przyszedł koniec świata, to ja ciębie nie zechcę! Ja ciębie! Na, z resztą dam sto dukatów, ale kiedy tu więcej twoja noga postanie, to dam znać do Izby Skarbowej, w dybki cię zakują jak zbójcę i na Sybir odeszlą.

To mówiąc pani młoda kazała mężowi wy-

liczyć bratu oznaczoną sumę, a Gustaw rzu-
cił pieniądze z gniewem na stół. Karol najobo-
jętniej schował je do kieszeni, zapalił u sto-
jącej świecy cygaro, nałożył czapkę na uszy
i świszcząc wyszedł z pokoju,

XVII.

PANI SĘDZINA DRUGA.

—>>>OIOIOIO<<<—

Żona nie zdradzi, jeżeli się nie będziesz
lękał zdrady.

Rada ślepych.

SZENE - KATRYNKA grała poloneza, tak serdecznie, tak zamaszycie, jak tylko go grać mogła; nie dziw też, że z całej ulicy na odgłos muzyki, zbiegły się jej słuchać kucheiki, kucharki, służące, stróże i t. p. — Nagle gdy zgromadzenie było liczne, muzyk przestał kręcić korbą, i odezwał się do gawiedzi.

— No, złóście się to wam zagram.

— Maciek! ja dam trzy grosze!

— Ja dwa!

— Ja pięć!

—Ja cztery i t. d.

Składka wynosiła złoty groszy ośm, muzykowi więcej nie było potrzeba, postawił swoją skrzynkę na ławce pod kamienicą, zakręcił i zaczęło się tryli li li, z wielkiem podziwieniem, radością i zapalem słuchającego spospółstwa. Byli tam, którzy się radowali muzyką, byli którzy się dziwili instrumentowi; dwie klasy, jak wszędzie, naiwnie używających roskoszy i dochodzących przyczyny jej, poetów i filozofów.

W tém wszedł ktoś między nich, wpadł, rozpędził tłum, wziął bez ceremonii za kark grajka, dał mu dwa złote żeby sobie poszedł z Bogiem, i odezwał się do ludu.

—W tym domu jedna pani leży bardzo chora! Idźcie sobie po cichu, moi kochani!

Lud się rozszedł, a większość udała się za muzykiem do szyneczku.

Nieznajomy, pan Karol, został sam jeden. Spójrział w okna, w jedném (a było blisko dziesiątej wieczorniej) w jedném jeszcze paliła się świeca. Karol zaczął kaszlać, kaszlał jak gdyby dostał koklusz; okno się otworzyło, i z okna ozwał się drugi kaszel, przykry, suchy, chorobliwy na pozór. Wśród tego nieprzerwanego

kilka minut krztuszenia się, Karol rzekł półgębkiem zadzierając głowę do góry.

— Czy śpi?

— Chodź! Odkaszlnięto mu z okna.

Karol cicho jak mysz zaczął się wkradać po wschodach, jemu podobni nie noszą podkutych butów; służąca otworzyła mu drzwi i wprowadziła do pokoju ciemnego, w którego drzwiach czekała go już kobieta, a jak tylko ujrzała, a raczej przeczuła, bo było ciemniuteńko, zarzuciła uścisk na szyję. Wyraźny odgłos pocałunku rozszedł się po pokoju.

— Tylkoż cicho, a nie baw długo, bo Sędzia strasznie pilnuje i nie dowierza. Niech Bóg broni, żeby się dowiedział lub domyślił czego, żeby mu kto powiedział że tu był mężczyzna choć pół chwili, zabić by mnie gotów.

— Nie bój się niczego, ja przy tobie jestem Karuniu.

— Prócz tego, dodała ciszej jeszcze po francuzku kobieta, ja tej służącej nie wierzę.

— Dałem jej dwa dukaty.

— To dobrze. Chodź po cichu, usiądziem pod oknem, momencik tylko zabawisz, zaraz iść musisz, bo się/bardzo boje.

— Ale czegoż się boisz? Ja ci ręczę, że się spał wieczorem i śpi teraz jak zabity.

— Ach, nie wiem, ale taki mnie strach przejmuje, jak gdybym co przeczuwała.

— Te przeczucia zawsze przychodzą ze strachu i uchodzą z niczém. — Pocałuj mnie droga i przestań się bać.

Pocałowali się; ale jeszcze całus się nie zerwał, gdy blask uderzył na pokój, kilka osób wpadło drzwiami. Kobięta z krzykiem skryła się za Karola, Karol z zimną krwią dobył pistoletów.

— A! facecije! A tuś! Nie ujdiesz teraz! Już mi drugą żonę chcesz na tamten świat wyprowadzić! facecije! Ale sam wprzód tam pójdziesz! Héj! tu! weźcie go!

— Ostrzegam, że pierwszemu który do mnie przystąpi, w łeb strzelę. Teraz proszę jeśli komu życie nie miłe, rzekł pan Karol.

Sędzia osłupiał.

— No to idź ztąd sam precz łajdaku! facecije!

— Pójdę panie Sędzio, ale pozwolisz mi z sobą zabrać twoją żonę, którą się jeszcze nie miałem czasu naciąć. Ona pójdzie ze mną.

— Do policj! budników! karaul! zakrzy-
czał Sędzia; gwałtownik! rozbojnik! Biegaj-
cie, rzekł do ludzi, do części.

— Kto się krokiem ruszy w łeb pałę. Sę-
dzio, radzę, komu życie miłe, niech stoi jak
wryty, bo dotrzymam słowa. Stary jesteś Sę-
dzio, wstydz się! a tak zazdrośny! Znasz hi-
storyjkę tego psa, co na sianie leżał i krowie
go nie dawał!

— Ja stary! ja pies! a! a! wołał Sędzia.
Precz mi ztąd! precz, bo zabiję! ja zabiję! co
napadnę to pochwycę, uciekaj!

— Czekam z rąk pańskich, rzekł zimno pan
Karol, czém mnie chcesz uderzyć, hij. Spro-
buj, ciekawy jestem ile też jeszcze zostało to-
bie siły, po dwóch żonach! Ale to tylko stra-
chy na lachy! Nie zabijesz panie Sędzio. Ot
lepiej, zgodnie, pięknie, daj mi cygaro lub
fajkę tytoniu, wypaliłbym nim pójdę, bo od
rana nie miałem czasu dymu powąchać.

Na te wpół szyderskie, wpół obojętne sło-
wa, ścięła się krew w żyłach starca, ale z gnie-
wu, który doszedł do najwyższego stopnia, trząsł
się tylko, nic mówić nie mógł, a dwie łzy spły-
nęły mu po rumianych policzkach.

Wszyscy stali jak wryci, kobieta kryła się za Karola.

—No, bierz salopę Karuniu i chodź ze mną, rzekł obojętnie Karol. Salopa twoja leży tu na krześle, jeśli chcesz, ja ci ją przyniosę. Trzymając ciągle w ręku pistolet, podał jej Karol chustkę i salopę. Kobieta okryła się, tuląc oczy w chustkę, a Karol widząc ją gotową, rzekł zimno.

—Idziemy.

Posunęli się ku drzwiom. Sędzia płakał jak dziecko, i szlochając odezwał się w tej chwili.

—Cożem Waćpani zrobił złego, że mnie porzucasz dla tego wartogłowa, który już tyle kobiet pogubił? Wziąłem cię ubogą, myślałem że się za to przywiążesz do mnie, że mi przyszłość niepodległą zapewnił; ale nie! O! teraz, dodał Sędzia z gniewem wybuchającym z pod łez, nie wezmę kobiety, wezmę psa za towarzysza, wezmę zwierzę, będzie wierniejsze!

—Tylko proszę nie bredzić! zawołał Karol. Cicho Sędzio, idź spać, spać, czas ci dawno, niepotrzebnie wstałeś, dobranoc! Potem przychylił się i szepnął mu do ucha.

—Ożeń się trzeci raz, to ja toż samo z trzecią zrobię. <http://rcin.org.pl>

Wychodzili, Karolina stanęła na progu, spojrzała ze łzami na płaczącego starca, zatrzymała się, zachwiała, rzuciła salopę, pobiegła ku niemu, padła na kolana i zawołała.

— Jam jeszcze niewinna! daruj mi mężu — a ty Karolu —

— Ale to cała romantyczna scena! zawołał śmiejąc się Karol z najzimniejszą krwią spuszczać kurek pistoletu i chowając go do kieszeni! Prześliczna scena moralna! Marmontel był by z niej zrobił powieść dla młodych panien! cha! cha! To tylko dziwne żeś ty Karuniu przeniosła starego bibułę nade mnie. No! no jak chcesz z resztą! Dobra noc, czuła paro gołąbków!

— A! zawołał łkając Sędzia i podnosząc żonę z ziemi — Idź precz przekłety zwodzicielu! Znalazłem kobietę, którą łzy starca i uczucie obowiązków, silniej poruszyły nad płochą miłość jednego młokosa. Idź ztąd! idź! przekłety! uciekaj! nie zarażaj dłużej tego miejsca swoją przytomnością!

— Idę, idę, rzekł Karol, dobranoc czuli małżonkowie. Życzę szczęścia i sił panu Sędziemu, za kuty śliczną i dla ciebie nadto pię-

kną masz żonę! Kto wie czy nie ładniejsza od
nieboszczki Amalki, Karunia? Pamiętasz Sę-
dzio, *naszą* Amalkę? he? pamiętasz? Dobra-
noc ci, stary głupcze!

XVIII.

BERNARDYN.



Leciałem po drodze życia jak kula dzia-
łowa, szumno, przeraźliwie, kto nie usta-
pił z drogi, musiał ze świata ustępować—
i piękny ten wyskok skończył się w rowie.

Urywek z Mellodramy.

WLAT pięć po opisanych wypadkach, (proszę
dobrze uważać, że to było w lat pięć) żona pana
Gustawa została szczęśliwą matką. Wydała
na świat bardzo piękne dziecko, duże, tłuste
i zdrowe, był to syn. Niezmiernie z niego była
kontenta, Amur ze wszystkiemi staruszek łaskę
utracił, o burku i kanarkach słychać nawet

nie było. Matka, jak wszystkie matki, u kolebki zaraz marzyła przyszłe szczęście swego dziecięcia, na pierwszym miejscu kładąc odziedziczenie owych niezmiernych milionów w Białowieskiej puszczy. Ochrzczono dziecię z wody, tymczasowie, a nim przyszło do ceremonjalnego chrztu, rozmyślano wielce nad nadaniem imienia nowo narodzonemu. Wiele to było biędy, nim się na ten ważny punkt zgodzono, aż nareście potomek rodziny Heciakowskich, wziął imię Hugona, dla tego, że jak wieść niosła, pradziada prababki pani Hermenegildy brat stryjeczny, przeor nie wiem jakiego klasztoru, nosił to imię. Stało się więc, że małego nazwano Hugonem, a przez spieszczenie Huziem; i tak zdecydowawszy się, przybicrać poczęto do ceremonjalnego chrztu.

Chodziło o kumów; dobrano Podsędkę ze Żmudzinką jakąś, a w drugą parę miano postawić w dodatku starą Franciszkę z zakrystjanem. Ze Skopówki jak wiadomo, niedaleko do Bernardynów, zanesiono więc dziecię do kościoła i we drzwiach oczekiwano tylko na xiędza. Dziecię dając znak zdrowia i długiego życia nielitościwie krzyczało, wrzeszczało i tar-

gało się; Zmudzini także niecierpliwili się bardzo, tupali nogami, kiwali głowami czekając na ojca Pafnucego, który miał chrzcić dziecko.

Po półgodzinném prawie oczekiwaniu, kapturzony, w komży, ukazał się z zakrystij xiaźdz, wyszedł, przyklęknął przed wielkim ołtarzem i zbliżył się ku drzwiom gdzie stali kumowie z dzieckiem.

Zaledwie stanął i kaptur odsłonił, ojciec dziecięcia spójrzał mu w twarz i krzyknął z podziwienia — Bernardyn cofnął się także, nasunął kaptur na oczy, zamruczał coś pod nosem, uciekł w głąb klasztoru i wysłał na swoje miejsce innego xiędza, który ochrzcił dziecko. Obrządek cały odbył się spokojnie i przyzwoicie zresztą, ojciec tylko, uważali wszysey, smutny był i zamysłony. Pan Podśudek nie miał czasu zajrzeć w twarz Bernardynowi, czynił więc z kumami najdziksze domysły o nim.

Tak powrócono do domu, podano herbatę, której już dawno drugi funt był zaczęty, bo sukcesyjna po s. p. matce wyszła zupełnie, z wielkim zalem gospodyni. Gustaw był milczący, ruszał ramionami, przechadzał się po pokoju,

aż ten zły jego humor zwrócił czułą uwagę najdroższej jego małżonki.

— Da fiż — zawołała. Czy ty sfixował! Co miał być wesoły na chrzeinach naszego Hudzia, to chodzi by jemu kto zęby mydłem wyszmarował. Da porzuć że te umory mężulku, porzuć, to nieprzystoi! Niechaj jeszcze kawalerowi co się stara, to uchodzi zamarkocenie, ale tobie! Jak ty się starał o mnie, to dość się nadumał, a ten twój brat—

— Mój brat, rzekł Gustaw stając na środku pokoju, właśnie to on takiego mi klina zabił w głowę—

I znowu! on! a toż co? Zmiłuj się, nie rób sekretu, gadajże.

— Widziałem go dziś znowu, po pięciu latach; ale w Bernardyńskim habicie! Uciekł gdy mnie zobaczył. On to właśnie miał chrzcic naszego Hudzia, ale postrzegłszy mnie, nasunął kaptur i poszedł nazad do klasztoru— nie zechciał!

— Czy ci się przywidziało! taki bezbożnik xiędzem!

— Musiał się opamiętać, a teraz pokutuje za grzechy. <http://rcin.org.pl>

—No, kiedy tak, to sprawiedliwie, dalbóg sprawiedliwie. I za to co się tak do mnie przysuwał onegdaj (było temu lat pięć spełna). O! niechaj pokutuje wszetecznik!

—Uważałem że mu na zdrowie idzie pokuta, bo utył porządnie, brzucha dostał ogromnego i rumieniec mu się nawet przebija.

—Da, niechaj się pasie kiedy pokutuje, niechaj się sobie pasie. Już teraz przynajmniej nikogo tam zwodzić nie będzie.

Gdy tak rozmawiają, wpadł zadyszany Sędzia, i rzucając laskę i kapelusz wką, pobiegł do samój pani.

—Czy słyszała Asińdzka, awantury! facecje! dziwolagi!

—A cóż takiego?

—A! formalna awantura! facecje! Poszedłem dziś moim zwyczajem dać na mszę do Bernardynów, za duszę nieboszczki piérwszój mojej żony, niech jej wieczna światłość świeci; bo to anniwersarz śmierci! Wchodzę na korytacz klasztoru Bernardynów i daję jakiemuś Bernardynowi, nie patrząc nawet na niego. Odezwał się coś. Słucham, spójrzałem w oczy! facecje! Kiedy ja się przyjrze, aż to ten pan Ka-

rol z trupią głową, co to mi tamtą żonę zabił, brat twój panie Gustawie! Kiedym mu mówił, że to za duszę Amalki, westchnął. Oslupiałem.

— A Waćpan tu co robisz? zawołałem.

— Pokutuję, rzekł mi pokornie — zadzwonili właśnie na obiad, i oddalił się spiesznie. Dowiadywałem się później u Ojca Gwardjana i dowiedziałem się, że już z górą trzy lata tam jest, bardzo przykładowy z niego xiądz, surowy, pobożny, tego roku się wyświęcił. Ha! facecje! pomyślałem, kiedy ten już coś zebrał się na pokutę, nikt nie powinien rozpaczać o sobie. Osobliwsze też zrządzenie, że ja dałem na mszę za duszę mojej żony, temu, który ją zabił.

Tu Sędzia zamilkł ociężając lży rękawem, a Gustaw mu z kolei opowiedział dzisiejszą swoją przygodę.

— Da dalbóg, ozwała się wreszcie Jéjmość, dajcie już mu pokój. Niechaj pokutuje, to i dobrze. Panie Sędzio, nie napijesz się herbaty?

— Najchętniej, i owszem.

— A jak się ma żona i córeczka?

— Zdrowe do usług pani; moja żona, dał Sędzia, pewnie tu dziś panią odwiedzi.

— O! bardzo jej wdzięczna będę, zwłasz-

cza, że teraz wszystko w łóżku leżeć muszę, do czego nie przywykła i bardzo mi nudno! Jeden tylko głos Hudzia mnie pociesza, kiedy go posłyszę.

— Tak to jak mnie głos córki, mojej Jadvisi, odpowiedział Sędzia, zawsze i choroby i smutek odpędza. Bóg daje chorobę i lekarstwo razem, a wszystko w porę i dobrze, tak jak w porę dał upamiętanie temu szalapatowi!

— To prawda, ale że się on upamiętał!

— Osobliwszy cud, rzekł Gustaw.

K O N I E C.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Przechadzka	9
II. Pierścionek ,	16
III. Pan Sędzia powraca do domu	26
IV. Stara . . . ,	35
V. Kilt	47
VI. Wóz , . . . ,	55
VII. Hrabianka	61
VIII. Niespodziane oświadczenie	66
IX. Panna Hermenegilda Heciakowska	74
X. Najpewniejsze, doświadczone i nieomyłne lekarstwo na miłość za piętnaście groszy .	86
XI. Fatalne umizgi. Pan Podśudek najniższy sługa . . . ,	95
XII. Rada . . . ,	101
XIII. Ostrzeżenie ,	107
XIV. Nowiny ze Żmudzi	114
XV. Co to może kochanie	122
XVI. Ślub i co było po ślubie	130
XVII. Pani Sędzina druga	143
XVIII, Bernardyn ,	151

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

0 - 0 W 0 0 W 0 0 W 0 0 W 0 0 W

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

F

1718